

LIBERTÉ!

numer 81/kwiecień 2023



MOJE SŁOWO!

BOŻENA GIERAT-BIEROŃ ° MAGDALENA SZPUNAR ° JANUSZ A. MAJCHEREK
BEATA KRAWIEC ° PIOTR BENIUSZYS ° ANNEIESE MISTEL ° DOMINIK JAŚKOWIEC
MAGDALENA M. KAJ-CHĘCIŃSKA ° MACIEJ CHMIELEWSKI ° KAMIL SZAŁECKI
ALICJA MYŚLIWIEC ° JAKUB ANDRZEJ LUBER ° JAKUB PSZONIAK



MAGDALENA M. BARAN

Redaktor prowadząca miesięcznik *Liberté!*

WIĘCEJ NIŻ TYLKO SŁOWA

*Tak i słowo brzmi ciągle i ciągle jest w ruchu,
Bardziej niż światłość jego promieniująca w duchu,
I, gdy wciąż wszyscy mówią, mało kto się spyta,
Jaki też jest cel słowa?*

Cyprian Kamil Norwid, *Rzecz o wolności słowa*

Troska o słowo jest troską codzienną. Nie do zaniedbania. Troska o wolność naszego słowa, wyrażania myśli, uczuć, stanowisk, poglądów. O każde nasze: „Tu stoję, inaczej nie mogę”, ale też każde: „Spróbuj mnie przekonać, że jest inaczej”. Przekonaj mnie. Znajdź argument nie do odparcia. Poszukaj drogi. W dialogu, w którym każde słowo się liczy. W dialogu, którego intencją nie jest wymuszenie, a wzajemna otwartość. Na drugiego człowieka. Na każdą inność. Na słowo, którego celem nie jest sianie zamętu, prowadzącego w niewolę gadaniny/paplaniny albo przemoc pustosłowia; którego zamierzeniem nie jest kłamstwo, ból, rozłąka. Tu słowo ma cel. Wydeptywanie ścieżki ku drugiemu człowiekowi, odbudowywanie mostu, co wydawał się spalony, codzienna nauka otwartości na to, co nieoczywiste,

nieznane, nie-proste. Słowo, co tworzy lub rujnuje, sprowadza spokój lub sieje wiatr, daje do myślenia, może zbudować zaufanie, odebrać je, ale też ma moc, by pomóc je odzyskać. Co nie gra w „słowo przeciwko słowu”, ani nie słucha tego, co „za plecami”. Tu słowo nie ma być manipulacją, ale wydarzeniem mowy, bez którego w rozpędzonym świecie poruszałibyśmy się niczym po omacku.

Słowo ma cel. Chce zmiany. Chce zapytywania o sens zastanego porządku. Chce kwestionowania lub potwierdzenia. Chce. Bywa szpilką, co ukuwszy da do myślenia, kiedy indziej kijem wbitym w mrowisko, albo igłą z hukiem przekłuwającą napompowany do granic wytrzymałości balon obłudy i pychy. Bywa osobą, co wypowiadając słowo zmienia nasz świat i... nawet nie wiemy, jak to się właściwie stało. Sama troska o słowo wydarza się tu i teraz. By nie ranić jak nożem, ale też by nie naklejać na rzeczywistość plasterków, pod którymi jeszcze bardziej się popsuje. Nie po to, by chwilowo upiększać sobie świat, tym czy innym „słodzić”, maskować wszelkiej maści

mankamenty, półprawdy i całe kłamstwa; nie po to, by betonować się w swoich stanowiskach. Nie po to, by głupi upór zatrzymywał twórczy rozwój. Słowa da się usłyszeć nawet przez najmocniej zatrzęsnięte drzwi, mimo zatłoczonych dłońmi uszu. Tu wolność słowa – jak chciał George Orwell – oznacza również „prawo do mówienia ludziom tego, czego nie chcą słyszeć”. Taki też jest cel słowa. Tu okazuje się ono wielkim, codziennym trudem. Szczególnie, gdy świadomie bierzemy za nie odpowiedzialność. Jak ja za Ciebie, a Ty za mnie. Od słowa do słowa. Inaczej... się nie da. Inaczej... nie chcę. Tu mogę dać słowo.

Wolność słowa musi mieć na uwadze również wolność drugiego. Wolność do słuchania, stawiania pytań, kwestionowania, nieufności, niepewności, polemiki, chęci/nie-chęci rozumienia, ale też wolność od krzyku, od słownego przymusu, od słownej przemocy, od zalewu przez propagandę, bzdurę; wolność od złych słów. Wolność od bycia szkalowanym, szykanowanym, od bycia kwestionowanym przez innych – w naszych poglądach, wyborach, stanowiskach,

w naszym byciu sobą. Wolność słowa to nie tylko krzyk protestu, nie wyrzut, nie stawianie sprawy na ostrzu noża; to także cierpliwość słowa, które wykazuje się uporem kropli wody, zdolnej wydrążyć nawet najtwardszy gład. Już starożytni wiedzieli, że zasadą jest tu częste (owej kropli) spadanie. To także dbałość o zmianę, ale ze świadomością, że wolność ta nie jest nam dana raz na zawsze, że wymaga troski, starania, otwartości, tolerancji czy wreszcie nieustannej nauki, poszerzania naszych światów o niegdyś niewypowiadalne, a dziś najzwyczajniej możliwe.

Walka o taką wolność, o wolność słowa, o każdy element naszego świata, nigdy się nie kończy. Jest codziennym wypowiedaniem siebie, swojej prawdy, swoich uczuć, swoich myśli. I pamięcią, że wolność słowa nie może być traktowana jako rekompensata za „rzadko używaną wolność myślenia” (vide Søren Kierkegaard). Przeciwnie, to jej konsekwencja. Ten moment, gdy mowa jest czymś więcej niż prostą sumą wypowiedzianych przez nas słów. I dopiero z tej perspektywy widać, jaki jest cel słowa...



6	PAWEŁ ŚPIEWAK. IN MEMORIAM <i>Piotr Gorski</i> MOJE SŁOWO!
8	WOLNOŚĆ WYPOWIEDZI ARTYSTYCZNEJ/LITERACKIEJ: OGRANICZANA I OGRANICZONA <i>Bożena Gierał-Bieroń</i>
16	WOLNOŚĆ SŁOWA JUŻ BYŁA? <i>Piotr Beniuszys</i>
30	JĘZYKOWE STRATEGIE WYKLUCZANIA NA PRZYKŁADZIE LUDZI ZBĘDNYCH <i>Magdalena Szpunar</i>
40	WOLNOŚĆ SŁOWA: PRAWO CZY PRZYWILEJ? <i>Magdalena M. Kaj-Chęcińska</i>
44	GDY CENZURA MOŻE BYĆ LEPSZA NIŻ WOLNOŚĆ SŁOWA <i>Anneliese Mistel</i>
	OKNO NA ŚWIAT
52	PUTIN POGRZEBAŁ RUSKI MIR <i>Janusz A. Majcherek</i>
	SAMORZĄDNI
56	METROPOLIA KRAKOWSKA NOWYM IMPULSEM DO ROZWOJU REGIONALNEGO <i>Dominik Jaśkowiec</i>
	EKONOMIA DZIŚ
60	CHOROWAĆ WOLNO LUDZIOM ZDROWYM <i>Maciej Chmielewski</i>
	IDEE I...
70	O ZMIERZCHU PORA NA JAZZ INTELEKTUALNY <i>Piotr Górski</i>

	ZIELONY LIBERALIZM
92	ZIELONI 2023 <i>Beata Krawiec</i>
	KULTURA DLA MYŚLENIA
98	KARDIOLOGIA (NIE)RÓWNOŚCI. WIDZIALNOŚĆ KOBIET <i>Alicja Myśliwiec</i>
	MŁODYM GŁOSEM
102	ZAKUCI W PARTYJNE KAJDANY. CZY SPORT BĘDZIE KIEDYŚ WOLNY OD POLITYCZNYCH UZALEŻNIEŃ? <i>Jakub Andrzej Luber</i>
	TRZY PO TRZY
108	KAŻDY MA SWOJĄ NOSTALGIĘ <i>Piotr Beniuszys</i>
110	COLD WAR LIBERALS <i>Dirk Stikker</i>
	WIERSZ WOLNY
116	FINAŁ <i>Jakub Pszoniak</i>

PIOTR GÓRSKI

PAWEŁ ŚPIEWAK. IN MEMORIAM

Był jednym z tych dziwnych stworzeń zwanych historykami idei. Z pewnością należał do grona najbardziej znamienitych przedstawicieli tego gatunku, do którego Polska miała wyjątkowe szczęście.

Był jednym z tych dziwnych stworzeń zwanych historykami idei. Z pewnością należał do grona najbardziej znamienitych przedstawicieli tego gatunku, do którego Polska miała wyjątkowe szczęście. Zaświadcza o tym nie tylko liczba osób, które mu coś zawdzięczają, ale także ich wielobarwność kulturowo-polityczna. Oddziaływał na osoby o różnej wrażliwości społecznej, niekoniecznie dzieląc je na własną.

W ten sposób Paweł Śpiewak odegrał niewątpliwą rolę w życiu intelektualnym III RP. Wielu środowiskom coś dał. Oczywiście jednym więcej, drugim mniej. Niektórym bezpośrednio, stając się ich protektorem – zwłaszcza liberałom skupionym wokół Socjologii na Karowej – innym poprzez to, że mogły z nim się spierać. Często nie doceniamy wpływu jaki mają na nas, na naszą formację myślową czy jej utrwalenie osoby, z którymi się nie zgadzamy. A przecież nawet na polemikę trzeba zasłużyć. Nie tyle sobie, co sobą. Ostatecznie jest to forma uznania, nieuwarunkowana jedynie osiągnięciami czy nawet wiedzą. Można o tym zapominać, zwłaszcza w czasach twitterowych nawalanek czy facebookowych imb, w których „zaśługa” bywają zasięgi, co ostrzejszy język czy słupki sondażowe.

Poprzez swoją aktywność publiczną, w najszerszym tego słowa znaczeniu – a więc także prywatne seminaria, czy to jeszcze w czasach PRL-u Jerzego Jedlickiego, czy już ze swoimi studentami w wolnej Polsce – dał tyle dobra ile mógł Polsce, na którą wydaje się, że był chory. Przejmował się nią bardzo. Chciał by stała się lepszym miejscem, zwłaszcza w obliczu tego, co wyprawia się właśnie z językiem w debacie publicznej, jak traktowane jest dobro wspólne. To charakterystyczne dla kolejnych pokoleń polskiej inteligencji utyskujących na sytuację w kraju,

niezachwianie dostrzegających jednak jego potencjał, wiecznie niewykorzystany.

Polska Pawłowi Śpiewakowi leżała na sercu do tego stopnia, że czasami mocno go uwierała. W obliczu degrengolady życia publicznego na przełomie XX i XXI wieku, „demokracji polityczno-towarzyskiej”, którą unaczniła Afera Rywina uznał, że potrzebna jest odbudowa zaufania do państwa, której symbolem miała stać się IV RP. Niedługo potem został niezależnym posłem wybranym z list Platformy Obywatelskiej. Ale powodzenie intelektualistów w polityce, zwłaszcza traktujących serio wysokie standardy moralne, to rzadkość. Władza go nie odurzyła, więc po jednej, skróconej kadencji zrezygnował. To epizod przedstawiciela pewnego pokolenia polskiej inteligencji, które wychowywało się w cieniu wojny, choć samo jej nie przeżyło, wchodziło w dorosłość w latach 70., właściwa inicjacja w życie publiczne przypadła na okres „Solidarności” i na bazie tego doświadczenia były wyrabiane myślenie i ideały, które później twardo zderzyły się z rzeczywistością niepodległej, demokratycznej Polski.

Pisaniem tego nigdy nie oddał, choć powiewem świeżości były niektóre teksty, jak chociażby o Tocqueville’u i Arendt, o „Solidarności” („Res Publica” 5/87), w którym odróżniał liberalne i demokratyczne spojrzenie od republikańskiego. Książki i eseje pomimo fizycznej obecności na ogół pozostają ulotne – chwilę pobędą i znikają w gąszczu, zacierają się w czasie. Mają szczęście, jak jeden czy drugi historyk czy inny badacz wróci do nich, odkryje na nowo.

Z efemerycznych aktywności Paweł Śpiewak wolał chyba rozmowy, które jednak na stałe zapadały w pamięć rozmówcom. Były więc bardziej trwałe niż niejedna publikacja. Gdy czyta się wspomnienia ludzi mu bliskich, właśnie wymiar konwersacyjny był silnie akcentowany. W końcu, za wspomnianymi wcześniej myślicielami właśnie dyskusje o sprawach wspólnych były najwyższym wyrazem wolności. Te prowadzone w bardziej prywatnych okolicznościach

czy atmosferze można traktować jako wprawianie się do występów na agorze.

Rozmową sprzyjają instytucje. To one tworzą przestrzeń dialogu, wymiany poglądów i wrażliwości. Oprócz domowych seminariów, o których była mowa, współtworzył w dawnych czasach „Res Publicę” i „Przegląd Polityczny”, w nowszych natomiast był spiritus movens „Kultury Liberalnej”. W drugiej dekadzie XXI wieku dyrektorował Żydowskiemu Instytutowi Historycznemu. Dzięki nim, w sposób niezauważalny oddziaływał na wiele osób. Również na takie jak ja, które osobiście go nie spotkały.

Dla mnie niezwykle ważne pozostaną też dokonania wydawnicze pod redakcją Pawła Śpiewaka. Przede wszystkim dwie serie: Biblioteka Polityczna Aletheia oraz Kolory Idei w Wydawnictwie Uniwersytetu Warszawskiego. W tej pierwszej ukazywały się książki i eseje takich myślicieli jak Michael Oakeshott, John Gray, Hannah Arendt, Raymond Aron, Leo Strauss, Erica Voegelina czy komunitarian. Pozwoliły mi nie tylko wyjść spoza bieżących spraw politycznych i nie być jedynie przez nie kształtowanym, ale także uświadomiły, jak różne i niezgodne mogą być poglądy osób, które zwolennicy bądź przeciwnicy chętnie zaliczają do jednego obozu. W tym przypadku krytyków liberalizmu z pozycji konserwatywnych, republikańskich i wspólnotowych. W drugiej serii opublikowane zostały klasyczne prace Edmunda Burke’a, Machiavellego, Maxa Webera, Davida Hume’a, T.S. Eliota czy Josepha de Maistre’a, mniej znany tekst Tocqueville’a o pauperyzmie czy eseje Tony’ego Judta z przełomu XX i XXI wieku. Te z kolei podgrzewały we mnie ciągłą ciekawość, co osoby o tak odmiennych temperamentach, żyjące w różnych czasach mają do powiedzenia o swoich doświadczeniach i obserwacjach, a także o ludziach i ideach, z którymi się nie zgadzają.

To daleko nie wszystkie aktywności publiczne Pawła Śpiewaka. Ale samo to, co przywołuje mi jego nazwisko pokazuje, że zostawił po sobie wiele.



WOLNOŚĆ WYPOWIEDZI ARTYSTYCZNEJ/ LITERACKIEJ: OGRANICZANA I OGRANICZONA

BOŻENA GIERAT-BIEROŃ

Wolność wypowiedzi artystycznej i literackiej była zawsze ograniczana (i ograniczona). Nie każdy mógł i może powiedzieć, co chce. Wolność niesie ze sobą odpowiedzialność za słowa oraz środki wyrazu artystycznego. Można być napiętnowanym za wypowiedź, obraz czy instalację. Interesujące jest, co się napiętnuje i jakimi metodami.

Pisarze i artyści byli przez wieki postrzegani jako wyrafinowani obrazoburcy, skandaliści, „immoralści”. Ujawняли zakazane sfery naszego życia, przedstawiali sytuacje skrajne czy graniczne, tematy tabu, testując mieszczańskie poczucie dobrego smaku oraz granice przyzwoitości. Społeczeństwa świata zachodniego spowite srogimi kanonami współżycia, kodeksami salonu czy zasadami poprawności języka literackiego (vide *Mieszczanin szlachcicem* Moliera) nie chciały się poddawać wstrząsom „perwersyjnych seksualnych zбочeńców” typu markiz de Sade. Sam de Sade spędził 27 lat w swoich 74-letnim życiu w więzieniu m. in. z powodu powieści „obscenicznych”. *Pani Bovary* została zakazana w Stanach Zjednoczonych. W bohaterce Flauberta widziano symbol wyuzdanej i upadłej kobiecości, godzącej w przyjęty w XIX wieku ideał pięknej niewiasty i przykładnej żony, z ru-

nieustanie rosło we Francji, a dziś wiemy, że „bowaryzm” (termin Julesa de Gaultiera) miał przemożny wpływ na koncepcję indywidualizmu, psychologię, medycynę czy idee rozwoju. Bohaterów przekraczających granice swojej klasy społecznej czy odważne sceny erotyczne opisywali też Stendhal i Wiktor Hugo. Oprócz Flauberta, Ameryka zakazała publikacji książek Daniela Defoe’a (za obrazowanie prostytucji), Johna Stenibecka (poruszającego temat eutanazji), czy późniejszych: Sylvii Plath (choroba psychiczna, myśli samobójcze) i Alice Walker (napaść seksualna). Funkcjonujące w Europie urzędy cenzorskie i odpowiednie ciała państwowe, specjalizujące się w rozstrzyganiu o dopuszczalności treści literackich do publicznego obiegu, miały ogromny wpływ na ograniczanie wolności słowa. Dobitym tego przykładem jest wstrzymywanie przez Lorda Szambelana premiery *Nory (Domu Lalki)* Henryka

Watykan umieścił *Drugą płęć* na liście książek zakazanych. Czas znowu przyznał rację autorce

mieńcem skromności na twarzy (typu Izabela Łęcka). Emma Bovary zdradzała męża, nienawidziła swojego prowincjonalnego życia, w końcu popełniła samobójstwo. Zamiast ideału kobiety romantycznej Flaubert, wg opinii krytyków, pokazał neurotyczkę, frustratkę i grzesznicę, która nie umie poradzić sobie z emocjami. To powodowało usuwanie tego typu literatury z rynku książek – ze względu na gorszący wpływ na czytelników. A jednak zainteresowanie *Panią Bovary* po wydaniu powieści w 1857 roku

Ibsena na londyńskich scenach u progu XX wieku. Nieakceptowalne dla widowni angielskiej było podobno zakończenie dramatu, w którym główna bohaterka po nieudanych próbach dopasowania się do roli „lalki” w małżeństwie, postanawia zostawić męża i dzieci, aby – jak mówi – „wychować samą siebie”. Ten manifest kobiecej emancypacji wyprzedził czas i zdolności aparatów administracyjnych do odpowiedzi na zmieniający się model rodziny. Hollywood cenzurowało filmy.

Powszechnie znany jest przykład *Przeminęło z wiatrem*. Reżyser David O. Selznick musiał zapłacić 5000 dolarów za użycie przez Clarka Gable'a słowa „cholera”. Podobnie było z *Psychozą* Alfreda Hitchcocka. Janet Leigh w scenie prysznicowej musiała wystąpić w kostiumie udającym skórę, bo nie wyobrażano sobie wówczas nagrania kobiecej nagości. Obowiązywał konserwatywny Kodeks Haysa, oprócz nagości zabraniający pokazywania seksu pozamatrzeńskiego czy przedstawiania

Druga płeć jest czytana na uniwersytetach i należy do kanonu literatury feministycznej.

Prawo wolności wypowiedzi z biegiem czasu zostało zmodyfikowane i prawnie uregulowane. Jest niezbywalnym prawem człowieka, zagwarantowanym w konstytucjach, kodeksach prawa cywilnego i karnego oraz w przepisach organizacji międzynarodowych. Wszystkie instytucje stanowiące prawo odwołują się do idei praw podstawowych. Konstytucja

„Twórczość intelektualna, artystyczna i naukowa jest wolna. Wolność ta obejmuje prawo do tworzenia, wytwarzania i rozpowszechniania dzieł naukowych, literackich i artystycznych oraz ochronę ustawą praw autorskich”

osób prezentujących religię w sposób ją ośmieszający. Na koniec przykład Simone de Beauvoir, którą uznano za skandalistkę po wydaniu *Drugiej płci* (1949). Książka – choć była manifestem obrony kobiecości i żeńskiej tożsamości płciowej, a cała tematyka dała początek dyskursowi feministycznemu – w tamtym czasie przez część opinii publicznej została przyjęta jako gorsząca i propagująca rozwiązłość. Kwestią budzącą szczególną kontrowersję było przyznanie się samej autorki do aborcji i odrzucenia małżeństwa jako formy społecznego uciemiężenia. Watykan umieścił *Drugą płeć* na liście książek zakazanych. Czas znowu przyznał rację autorce. Esej zyskał niezwykłą popularność. Dziś

konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej w artykule 73 gwarantuje wolność działalności artystycznej. Z tego należy wyodrębnić wolność twórczości artystycznej i wolność jej eksponowania, wolność korzystania z dóbr kultury. Artykuł 23 k.c.2 w zw. z artykułem 24 k.c.3 wskazuje, iż twórczość traktowana jako wolność podlega ochronie prawnej. Także Konstytucja Estonii gwarantuje (art. 38 i 39) wolność nauki i sztuki oraz prawa autora do swojego dzieła. Konstytucja Portugalii w artykule 42 mówi, że wolność twórczości artystycznej zagwarantowana jest jako wolność o charakterze osobistym („Twórczość intelektualna, artystyczna i naukowa jest wolna. Wolność ta obejmuje prawo do tworzenia, wytwarzania

i rozpowszechniania dzieł naukowych, literackich i artystycznych oraz ochronę ustawą praw autorskich”). Karta Praw Podstawowych Unii Europejskiej (KPP) gwarantuje w artykule 13 wolność sztuki i badań naukowych jako odrębną sferę działalności człowieka gwarantowaną w porządku prawnym międzynarodowym („Sztuka i badania naukowe są wolne od ograniczeń. Wolność akademicka jest szanowana”). KPP mogła tak zdefiniować sztukę (jakoby bez ograniczeń), ponieważ w kwestii ograniczeń w stosunku do art. 13 KPP ma zastosowanie art. 10 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka i Podstawowych Wolności (EKPCZ) który – jako

element ustawodawstwa Rady Europy – jest z UE immanentnie skorelowany.

Artykuł 10 ust. 1 EKPCZ ustala, że prawem człowieka jest prawo do „wyrażania opinii”. Każdemu człowiekowi przysługuje prawo do „posiadania poglądów oraz otrzymywania i przekazywania informacji i idei bez ingerencji władz publicznych i bez względu na granice państwowe (art. 10 ust. 1. EKPCZ, art. 10 ust. 1 KPP). Zatem podstawowym prawem człowieka, wg standardów prawa europejskiego, jest prawo do posiadania poglądów oraz wyrażania opinii, zdania i przekonania. Wolność do wyrażania



Photo by freestocks on Unsplash

poglądów niesie ze sobą obowiązki i odpowiedzialność. Wg artykułu 10 ust. 2 EKPCZ wolność wypowiedzi podlega „wymogom formalnym, warunkom, ograniczeniom i sankcjom, jakie są przewidziane przez ustawę i niezbędne w społeczeństwie demokratycznym w interesie bezpieczeństwa państwowego, integralności terytorialnej lub bezpieczeństwa publicznego ze względu na konieczność zapobieżenia zakłóceniu porządku lub przestępstwu, z uwagi na ochronę zdrowia i moralności, ochronę dobrego imienia i praw innych osób oraz ze względu na zapobieżenie ujawnieniu informacji poufnych lub na zagwarantowanie powagi i bez-

do odpowiedzialności prawnej za te wypowiedzi (artystyczne/literackie) w sytuacji, gdy ich wymowa uderzy w dobro społeczeństwa. A że twórczość bywa kontrowersyjna, wykazałam wyżej, zatem trzeba się liczyć z tym, że do kolizji dochodzi. Artysty/literaci stosują w swoich wypowiedziach np. radykalne szyderstwo czy bluźnierstwa, które mogą godzić w dobre imię i prawa innych ludzi, w tym prawo do religii. Istnieje zgoda co do tego, że nie można automatycznie ograniczać twórczości artystycznej tylko dlatego, że przedstawione dzieło zawiera treść czy formę kontrowersyjną, nawet dla znacznej części społeczeństwa. Dzieła sztuki/litera-

wyroków sądów, dlatego warto spojrzeć na finalne orzeczenia niektórych spraw ETPCZ.

Wydaje się, że w zachodnich demokracjach niemożliwy byłby dziś proces Charlesa Baudelaire'a i jego wydawcy (1857) za tomik wierszy *Kwiaty zła*. Sąd, nazywając tom wierszy „obscenicznym” i „bluźnierczym” nakazał wydawcy usunąć ó wierszy (w tym o Lesbos), a autora skazał na karę grzywny. Jednakże w 1999 roku turecki wydawca Rahmi Akdas przegrał proces w sądzie o opublikowanie w swojej oficynie wydawniczej „Hades” dzieła Guillaume'a Apollinaire'a *Jedenaście tysięcy pa-*

Warto przytoczyć jeszcze dwie głośne sprawy artystyczne, rozstrzygane w strasburskim Trybunale w latach 1988/1989. Sprawy te nadały kierunek orzecznictwu europejskiemu w omawianym obszarze. Chodzi o sprawy Müller i inni vs Szwajcaria oraz Vingrove vs Wielka Brytania. W obu przypadkach chodziło o bluźnierstwo religijne: pierwsza to obrazoburcza wystawa Felixa Müllera we Fryburgu (1981), druga – to pogardliwe i obelżliwe treści pod adresem Jezusa w filmie Nigela Vingrove'a *Wizje ekstazy* o ekstazie św. Teresy z Avili. W obu przypadkach po procesach sądowych ostatecznie Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu

Dziś żyjemy w świecie, w którym ingerencja władz w treści dzieł literackich czy dzieł sztuki jest niedopuszczalna. Istnieje wolność opinii i poglądów

stronności władzy sądowej”. Przepis ten jest ważny. Precyzuje, że wolność wypowiedzi jest ograniczona ze względu na: bezpieczeństwo państwa i porządek publiczny, z uwagi na zdrowie ludzi i moralność, ochronę dobrego imienia, ujawnianie informacji, które mogłyby zaszkodzić państwu i społeczeństwu. Wszystkie te ograniczniki wymagają osobnej i bardzo dokładnej wykładni prawnej.

Tu możemy jedynie rozwinąć niektóre aspekty tego przepisu. Stwierdza on bowiem, że artysta i pisarz, posiadający prawo do wolności wypowiedzi, mogą jednakowoż zostać pociągniętymi

tury podlegają ochronie niezależnie od opinii ludzi. Jednakże artysta musi mieć świadomość, że umyślnie wybierając motywy znieważające np. kult religijny, zawierające obelżywości wobec obrzędów czy autorytetów kościelnych, naraża się na popełnienie przestępstwa kodeksu karnego, zwłaszcza jeśli naruszenie ma charakter publiczny. Należy dodać, że przewinienia tego typu nie są kryminalizowane (z wyjątkiem m. in. Rosji, przykład *Pussy Riots*). Dziś żyjemy w świecie, w którym ingerencja władz w treści dzieł literackich czy dzieł sztuki jest niedopuszczalna. Istnieje wolność opinii i poglądów. Jednakże nie unikniemy kwestii spornych, a nawet krzywdzących

Jeśli uznaliśmy, że dla bezpieczeństwa publicznego należy chronić niepełnoletnich, uczucia religijne, zdrowie i moralność, to trudno, żeby niestosowanie się do tych zasad było do przyjęcia. Z drugiej strony potrzebna nam jest artystyczna rebelia, bo zwiastuje nowość, postęp i zmianę

tek czyli miłostki pewnego gospodarza (1907). Sąd uznał utwór za niemoralny, nakazał wycofanie nakładu oraz grzywnę w wysokości 1500 euro. Akdas odwołał się do Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu i proces wygrał. Trybunał uznał, że dzieło jest fikcją literacką i tak należy je czytać; jest tłumaczone na języki obce, a autor uchodzi za jednego z najważniejszych poetów literatury francuskiej. Ludzie mają prawo znać utwory Apollinaire'a jako kunsztownego i wybitnego poety.

uznał, że artysta miał prawo do wyrażenia swoich poglądów, a to pomaga w kształtowaniu opinii publicznej i jest zgodne z prawem do swobody wypowiedzi twórczej, wolności wymiany informacji i idei kulturalnych (art. 10 EKPCZ). Ponieważ w sprawie Vingrove vs Wielka Brytania zakazano na wyspach rozpowszechniania filmu (sam autor uznał, że ma on charakter pornograficzny), Trybunał stwierdził, że nie złamano art. 10 EKPCZ. Decyzja o wstrzymaniu dystrybucji *Wizji ekstazy* była słuszna, albowiem



Photo by Ian dooley on Unsplash

film – powielany w sposób niekontrolowany – mógł trafić do osób niepełnoletnich oraz innych osób niepożądanych.

Najgłośniejszą polską sprawą dotyczącą ewentualnego przekroczenia granic wolności twórczości artystycznej była instalacja Doroty Nieznalskiej pt.: *Pasja*, wystawiona w gdańskiej galerii Wyspa w grudniu 2001 r. Artystka została oskarżona o naruszenie art. 196 kodeksu karnego, to znaczy obraziła uczucia religijne. Po ośmiu latach procesu, w marcu 2011 r. artystka została uniewinniona. Jak czytamy „w uzasadnieniu sąd wskazał na winnego całej »afery«, czyli telewizję TVN, która przedstawiła instalację w taki sposób, że mogła manipulować emocjami osób, które nie posiadały orientacji w dyskursach sztuki współczesnej. Dodajmy: podobnej manipulacji na swoich wyborcach dokonali politycy

LPR. Sąd nie znalazł także dowodu na twierdzenia prokuratora, jakoby Nieznalska miała wykonać instalację dla zyskania rozgłosu”. Z tego samego paragrafu kodeksu karnego odpowiadał Adam Darski (Nergal), lider zespołu Behemot. Artysta podczas koncertu w 2007 r. podarł Biblię, nazywając ją „księgą kłamstw”. W sierpniu 2011 roku Darski został uniewinniony, a w wyroku sąd potwierdził konieczność ochrony twórczości artystycznej, stwierdzając, że nie będzie wskazywał żadnych granic dla wolności artystycznej, ani dla wolności wyznaniowej.

Podsumowując powyższe rozważania – nie ma wolności absolutnej. Wolność nie jest swawolą. Artysta nie jest uprzywilejowany w swojej wypowiedzi twórczej. Obowiązują go zarówno prawa, jak i obowiązki. Nie ma jednolitej definicji granic wolności wypowiedzi, o czym świadczy orzecznictwo

Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Można uznać, że zachodni świat poradził sobie z „wykroczeniami” pisarzy i artystów, uznając je za akceptowalne lub za naruszenia słabe. Jednakże, jeśli uznaliśmy, że dla bezpieczeństwa publicznego należy chronić niepełnoletnich, uczucia religijne, zdrowie i moralność, to trudno, żeby niestosowanie się do tych zasad było do przyjęcia. Z drugiej strony potrzebna nam jest artystyczna rebelia, bo zwiastuje nowość, postęp i zmianę. Co nam więc zostaje? Ano, pozostaje nam zachować proporcje w ograniczeniu wypowiedzi artystycznej względem celu, który twórca chce osiągnąć. Lub po prostu stosowanie praktyk ostrzegawczych – wzorem Wydawnictwa W.A.B. Wydając wspomniane wcześniej *Jedenaście tysięcy patek, czyli miłość pewnego gospodarza Apollinaire’a* w 2011 roku książka na okładce sygnalizowała, iż „zawiera drastyczne sceny erotyczne. Wyłącznie dla dorosłych czytelników”. I już. ●

Przypisy:

¹ Np. Międzynarodowy Pakiet Praw Obywatelskich i Politycznych, ONZ, Karta Praw Podstawowych UE.

² Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 2 kwietnia 1997 r. (Dz.U. Nr 78, poz. 483).

³ Art. 73: „Każdemu zapewnia się wolność twórczości artystycznej, badań naukowych oraz ogłaszania ich wyników, wolność nauczania, a także wolność korzystania z dóbr kultury”.

⁴ Konstytucja Republiki Portugalskiej z dnia 2 kwietnia 1976 r., więcej: W. Staśkiewicz (red.), *Konstytucje państw Unii Europejskiej*, Wyd. Sejmowe, Warszawa 2011, s. 612.

⁵ Karta Praw Podstawowych, Dziennik Urzędowy Unii Europejskiej C 303/17 - 14.12.2007

⁶ Orzeczenie ETPC z dnia 24 maja 1988 r. w sprawie Müller i inni v Szwajcaria, skarga 10737/84, orzeczenie z dnia 20 września 1994 r., ECHR, ser. A 133, za: M.A. Nowicki, *Europejska Konwencja Praw Człowieka*, wybór orzecznictwa, Warszawa 1998.

⁷ Case of Vingrove v. the United Kingdom (Application no. 17419/90), Judgment, Strasbourg 1996.

⁸ J. Hołda, *Wolność twórczości artystycznej*, 21.10.2011, <https://nck.pl/en/szkolenia-i-rozwoj/aktualnosci/wolnosc-tworczosci-artystycznej>, zobacz też: www.nieznalska.art.pl.



BOŻENA GIERAT-BIEROŃ

Doktor habilitowana nauk o polityce. Adiunkt w Instytucie Europeistyki UJ, kierownik studiów Podyplomowych „Dyplomacja kulturalna”. Jej obszary badawcze to: europejskie modele polityk kulturalnych, polityka kulturalna Unii Europejskiej, procesy europeizacji kultury oraz dyskusja nad ideą Europejskiej Stolicy Kultury. Autorka książek, ekspertyz europeistycznych oraz kilkudziesięciu artykułów naukowych. Stypendystka Komisji Europejskiej (Erasmus Mundus), programu UJ-JAM (UJ-Kobe University), japońskiej fundacji Ryoichi Sazakawa. W latach 2002-2009 koordynatorka międzynarodowego programu magisterskiego Euroculture. Członkini krajowych i międzynarodowych zespołów badawczych, Rady Naukowej „Studiów nad dziedzictwem i pamięcią kulturową”, od 2020 r. - redakcji *Studies in European Integration, State and Society* (Peter Lang Publishing House). W latach 2013-2014 była pełnomocnikiem dyrektora Narodowego Centrum Kultury ds. Wrocławia Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Działa w Europejskim Stowarzyszeniu Badaczy Kultury ECURES.

WOLNOŚĆ SŁOWA JUŻ BYŁA?

PIOTR BENIUSZYS

Bez wolności słowa nie ma pola dla obywatelskiego aktywizmu w obronie któregoś z innych praw i wolności. Nie ma możliwości sygnalizowania zagrożeń dla wolności posiadanych, ani walki o poszerzenie zakresu wolności o nowe swobody. Z wolnością słowa stoi, a bez niej pada cały konstrukt człowieka niezależnego od władzy.

Wolność słowa to – formalnie – fundament ustroju w demokracji liberalnej. Najbardziej oczywista wolność człowieka, zjawisko najbardziej jaskrawo odróżniające kraje wolne od reżimów zniewalających swoich poddanych. W całym, misternie przez wieki konstruowanym systemie wolności indywidualnych wolność słowa jest wolnością niewrażliwą. Bez wolności słowa nie ma pola dla obywatelskiego aktywizmu w obronie któregoś z innych praw i wolności. Nie ma możliwości sygnalizowania zagrożeń dla wolności posiadanych, ani walki o poszerzenie zakresu wolności o nowe swobody. Z wolnością słowa stoi, a bez niej pada cały konstrukt człowieka niezależnego od władzy. Bez wolności słowa bezzębna staje się wszelka opozycja, a rząd zdobywa całkowitą kontrolę.

Przez długie lata politycznej praktyki w demokracji zadanie obrony wolności słowa było nie tylko oczywistością, ale także przynosiło chlubę obrońcom, drugą stronę – potencjalnych cenzorów – stawiając niezmiennie w trudnym położeniu, tak politycznie, jak i moralnie. Oczywiście dzieje demokracji obfitowały w momenty kontrowersji wokół zakresu wolności słowa, wobec czego nigdy wokół niej i jej zasad nie powstawał pełny czy nienaruszalny konsensus. Jednak generalna zasada, mówiąca o tym, iż obywatel ma w demokracji prawo do nieskrępowanego zabierania głosu w sprawach publicznych lub wyrażania swojej opinii na dowolne tematy, była podzielana przez wszystkich istotnych uczestników debaty publicznej. Było to zgodne z postulo-

waną przez liberałów wizją maksymalizacji zakresu wypowiedzi objętych prawem do wybrzmienia.

Jednak wraz z rozwojem nowoczesnych technologii komunikacyjnych, rozpadem strefy publicznej na posegmentowane „bańki”, umasowieniem i anonimizacją dostępu do politycznej komunikacji oraz degradacją intelektualnego poziomu i etycznego wymiaru debaty publicznej, przestrzeń przeznaczona onegdaj na dialog (i głoszenie uargumentowanych manifestów) została w znacznej mierze zachwaszczona pozbawionymi wartości poznawczych komunikatami, nakierowanymi na wzajemne obrażanie się przez ludzi o odmiennych poglądach. Obrona własnego stanowiska przestała być głównym celem zabierania głosu. W jej miejsce wszedł atak na stanowisko przeciwne. Nie trafność argumentacji, a dotkliwość obelżywości komunikatu stała się miarą „sukcesu” w potyczkach słownych. Słowo stało się erzacem, nową metodą stosowania przemocy politycznej. Zamiast pięści i kija używa się klawiatury.

W tych realiach wolność słowa, już nawet jako sama idea, straciła wiele ze swojego pierwotnego powabu, a występowanie w roli jej obrońcy przestało być automatycznie postrzegane jako zajęcie moralnie uzasadnionego, szlachetnego stanowiska. Ściągnęło na siebie podejrzenie bycia mecenasem hejterów. Nic dziwnego więc, że modyfikacji ulega postawa wielu przedstawicieli demokratycznej lewicy i demokratycznej prawicy względem wolności słowa. Ta postawa ujawnia coraz częściej wiele

rysów dyskrecjonalności: każda strona politycznej areny broni wolności słowa, ale tylko „swoich”, czyli broni prawa do głoszenia poglądów jej bliskich i wtedy ubiera się w szaty „obrońców wolności słowa”. Jednak często tego samego dnia ucieka się do powiadamiania prokuratury, gdy kontrowersyjne słowa padną z ust ludzi o przeciwnych jej poglądach – i tak prawica chce, aby śledczy wzięli na widelec „winnych” prezentacji krytycznych wobec religii jasełek w jednej ze szkół, a lewica domaga się ścigania grupy organizującej rekolekcje. Tymczasem przecież konsekwentne podejście wymaga albo uznania (np. przez wzgląd na udział w obu przedsięwzięciach osób niepełnoletnich, pieczę nad którymi powierzyli nieświadomi tych treści rodzice) obu wydarzeń za niedopuszczalne, albo

przez prawicę oskarżani o krzewienie moralnego zepsucia. Gdy bronią swobody konkurencji na wolnym rynku, lewica oskarża ich o sprzyjanie kapitalistycznym krwiopijcom. Dotąd liczyli na chwilę oddechu od tak natarczywych krytyk, gdy zwracali się ku obronie wolności słowa. To się chyba jednak kończy i teraz obrona wolności słowa będzie utożsamiana z obroną hejtu, a atak na liberałów w tej sprawie przypuszczą i prawicowcy, i lewicowcy, w krytyce hejtu zazwyczaj ślepi na jedno oko.

Zacznijmy od Milla

Pomimo tego liberałowie powinni pozostać na stanowisku nakreślonym najpełniej już przez Johna Stuarta Milla w XIX w. i bronić bardzo szeroko zakreślonej wolności słowa. Z jego zdań zawartych

Obrona własnego stanowiska przestała być głównym celem zabierania głosu. W jej miejsce wszedł atak na stanowisko przeciwne. Nie trafność argumentacji, a dotkliwość obelżywości komunikatu stała się miarą „sukcesu” w potyczkach słownych

(to moje stanowisko) uznania obu za dopuszczalną formę skorzystania z wolności słowa w celowo kontrowersyjnej formie.

Liberałowie są przyzwyczajeni do tego, że przypisuje się im stale jak najgorsze intencje. Gdy bronią wolności człowieka do samodzielnego decydowania o swoim życiu prywatnym czy intymnym, są

w drugim rozdziale epokowego traktatu O wolności, należy wywieść kilka istotnych dla rozumienia znaczenia tej wolności kontrapunktów. Po pierwsze, wolność słowa powinna obejmować opinie/sądy zarówno prawdziwe, jak i fałszywe. Pomijając nawet wszelkie trudności związane z obiektywnym ustaleniem (przez kogo? w oparciu o co?) prawdziwości/fałszu stwierdzenia w sposób absolutnie



Photo by Morgan Basham on Unsplash

obiektywny (wymaga to założenia nieomyślności tej czy innej instancji), brak jest przesłanek, aby wypowiedzi fałszywe lub błędne wykluczać spod ochrony wolności słowa. Mill podkreśla, że jednym z celów (lub przynajmniej niezamierzonych skutków ubocznych) prowadzenia debaty i sporów jest kumulacja rosnącego zasobu wiedzy przez ludzkość. Popękanie błędów i stawianie fałszywych tez także temu służy. Uciszenie opinii oznacza więc „rabunek” aktualnego i przyszłych pokoleń ludzkości z nowej wiedzy, a strata ta w nawet większym stopniu dotknie tych, którzy z uciszoną

prawdę i umieszczenie pod kloszem, gdzie żadna krytyka nie dochodzi.

Drugi kontrapunkt Milla to dwoiste ujęcie funkcji wolności słowa, która jest zarówno wartością instrumentalną, jak i inherentną (samą w sobie). Jako wartość instrumentalna służy oczywiście nakreślonym powyżej celom uzyskiwania większej wiedzy i oglądu rzeczywistości dzięki konfrontowaniu się różnych poglądów na arenie uczciwej debaty. Jest jednak także wartością inherentną, gdyż jako taka jest potrzebna człowiekowi. Jednostka ludzka ma

Uciszenie opinii oznacza więc „rabunek” aktualnego i przyszłych pokoleń ludzkości z nowej wiedzy, a strata ta w nawet większym stopniu dotknie tych, którzy z uciszoną opinią by się nie zgodzali

opinią by się nie zgodzali. Bo jeśli uciszona opinia była jednak trafna, to stracili szansę na wyjście z własnego błędu. A jeśli była nietrafna, to stracili szansę na to, aby poprzez kontrargumentację i odrzucenie jej pozyskać lepsze i żywsze rozumienie prawdy, jaką prawda zyskuje zawsze, gdy wchodzi w kolizję z błędem. Nie tylko w nauce, ale także w życiu społecznym, każdy pogląd winien stale być wystawiony na krytykę, być otwarty na potencjalną możliwość jego falsyfikacji. Miarą słuszności poglądu jest bowiem przetrwanie jak największej liczby intelektualnie wyrafinowanych prób jego falsyfikacji, a nie zaordynowane uznanie go za

prawo oznajmiać światu (czyli tym wszystkim, którzy chcą jej słuchać), jakie są jej poglądy, oceny, emocje, postawy, sympatie i antypatie. Ma prawa dawać świadectwo swojego światopoglądu, wierzeń religijnych, tożsamości etnicznych, kulturowych, płciowych i innych w sposób widomy dla innych ludzi. To prawo człowieka do ekspresji siebie wynika z przekonania Milla i innych liberałów o tym, że jednostka ludzka i jej godność stanowią najwyższą wartość podmiotową. Nadanie człowiekowi prawa głosu jest nieodzowną konsekwencją uznania życia człowieka za najwyższą wartość. Wolność słowa jest równoznaczna z wolnością ekspresji.

Trzeci kontrapunkt odnosi się do genezy zagrożeń dla wolności słowa. Najbardziej oczywistym agentem cenzury i zakazu mówienia jest władza polityczna, a więc rząd i powołane w celach kontrolnych i stosowania przemocy struktury państwa. Jednak już na samym początku swoich rozważań Mill podnosi, że rząd nie ma prawa podnieść ręki na wolność słowa ani wtedy, gdy robi to wbrew uciskanemu społeczeństwu, ani wtedy, gdyby miał poparcie niemal całego społeczeństwa dla cenzorskich zapędów. Wolności słowa nie może ograniczać ani władza polityczna, ani presja społeczna. Zadaniem rządu liberalnego jest więc nie tylko powstrzymać się od jakichkolwiek ograniczeń dla słowa, ale wręcz także uniemożliwiać jakiegokolwiek grupie społecznej uciszanie kogokolwiek poprzez stosowanie nieformalnych narzędzi, takich jak na przykład zastraszanie.

Mill swój traktat napisał jednak ponad 150 lat temu i nie mógł przewidzieć wielu negatywnych zjawisk,

Właściwą liberalnej postawie metodą walki z nimi będzie jednak kontrargumentacja, a nie cenzura, uciszenie czy zastosowanie wobec autorów jakichkolwiek formalnych sankcji

jakie nastąpiły później, a zwłaszcza w ostatnich 20 latach. Jak dziś rozumieć i jak wdrażać w życie jego zasadę maksymalnej wolności słowa? Jakie formy wypowiedzi powinny zostać objęte ochroną,

a jakie wykraczają poza jej granice? Czy należy karać za rasistowskie/seksistowskie poglądy? Czy zabronić negocjowania zmian klimatycznych, tak jak zabrania się negocjowania Holocaustu? Czy zabronić głoszenia poglądów „wywołujących dyskomfort upośledzonych grup”? Czy każda nieprzyjemna wypowiedź winna trafić do worka z napisem „hej!” i być podstawą do wytoczenia sprawy sądowej? Czy regulamin prywatnego medium społecznościowego jest formą cenzury? Czy powinno się zdelegalizować fake newsy? To tylko kilka pierwszych z zapewne bardzo wielu pytań, które nasuwają się przy okazji zadumy nad tym problemem.

W i poza granicami wolności słowa

Niezwykle trudno jest pogrupować wypowiedzi w czytelnie wyróżnione kategorie, zwłaszcza współcześnie. Format komunikowania się narzucony przez nowoczesne kanały społecznościowe nie tylko radykalnie spłycił i zbanalizował przytłaczającą większość wypowiedzi uczestników debaty, ale także utrudnił ocenę tak ich zawartości, jak i in-

tencji autorów. Na pewno stopniowo coraz mniej treści można zaliczyć do tej kategorii, której ochrona przez zasadę wolności słowa jest najbardziej oczywista i ma kluczowe znaczenie – a więc do

wypowiedzi służących rozwojowi ludzkości i poszerzaniu wiedzy za sprawą merytorycznego przytoczenia w debacie nad danym problemem pewnego zestawu argumentów. To właśnie do tego rodzaju treści odnosi się głównie Mill, gdy nakreśla zagrożenia związane z cenzurą. Pomimo tego, że tutaj kontrowersji jest najmniej, to jednak niekiedy się pojawiają. Trzeba więc zdecydowanie stwierdzić, że w liberalnym podejściu do wolności słowa nie może być nawet cienia pokusy, aby zakazywać komukolwiek głoszenia jakichkolwiek poglądów

Millowskiej wolności słowa. Wskazał na nie już sam Mill, zwłaszcza we fragmencie dotyczącym różnicy pomiędzy obarczeniem danej grupy zawodowej winą za plagę głodu w artykule prasowym lub przemowie parlamentarnej a uczynieniem tego wobec rozwścieczonego i gotowego na lincz tłumu, zebranego przed domem jednego z przedstawicieli tejże grupy. Niedopuszczalne jest więc formułowanie jakichkolwiek wezwań do stosowania przemocy fizycznej wobec kogokolwiek, ani wobec konkretnych osób indywidualnych, ani wobec

**Dla budowania autorytetu w „bańce” zwolenników
niemałe znaczenie ma uzyskanie wizerunku
„niepokornego twardziela”. To swoisty macyzm
sieci 2.0. Równocześnie jednak znana jest także
prawidłowość „Kozak w necie, p*** w świecie**

politycznych, dopóki odbywa się to w formie argumentacji. Oczywiście wiele poglądów tak prezentowanych będzie kompromitujących, a nawet groźnych dla przyszłości społeczno-politycznej. Właściwą liberalnej postawie metodą walki z nimi będzie jednak kontrargumentacja, a nie cenzura, uciszenie czy zastosowanie wobec autorów jakichkolwiek formalnych sankcji.

Po drugiej stronie skali znajdują się z kolei wypowiedzi w sposób najbardziej oczywisty wykraczające poza granice nawet najszerzej zakrojonej,

przypadkowych członków w jakikolwiek sposób zdefiniowanej grupy społecznej. Doświadczenia XX w. pozwoliły rozciągnąć tę zasadę na propagandę ekstremistyczną, która – choć zachowuje pozory wywodu argumentującego – ostatecznie prowadzi do postulatu stosowania przemocy w działaniach politycznych. Żadna forma fizycznej przemocy, motywowana politycznie lub w jakikolwiek inny sposób, nie może być uznana za dopuszczalną, ponieważ stanowi z definicji bezpośredni atak na wolność człowieka. Słowo, które staje się narzędziem, zarzewiem, katalizatorem, facylitatorem



Photo by Iam_nah on Unsplash

lub rozsadnikiem przemocy lub gotowości do zastosowania przemocy, jest wykluczone. Wykracza poza liberalne i Millowskie granice wolności słowa, a jego autorzy powinni zostać adekwatnie ukarani. Niektórzy liberałowie upatrują tutaj uzasadnienia dla zakazu negocjowania Holokaustu, co jednak pozostaje przedmiotem ich sporów.

Drugą w sposób oczywisty niedopuszczalną formą wypowiedzi się fałszywe pomówienia osób lub grup o naruszenie prawa lub wszelkie inne czynności, które – przypisane komuś – mogą te osoby dyskredytować, poniżyć w oczach opinii publicznej lub im uwłaczać. Niezgodne z faktami pomówienie konkretnej osoby winno prowadzić do ukarania autora wskutek pozwu cywilnego, przy czym jeśli osoba pomówiona nie dysponuje wystarczającymi środkami na uzyskanie efektywnej ochrony prawnej, sprawę powinna przejmować prokuratura na wniosek pokrzywdzonego. Podobna procedura winna mieć miejsce w przypadku fałszywego pomówienia grupy społecznej. W ostatnich latach przykładem tego rodzaju niedopuszczalnej wypowiedzi w Polsce były treści piętnujące osoby LGBT umieszczone na tzw. homofobo-busach.

Sankcje za te dwa typy wykroczeń poza granice wolności słowa powinny obejmować, odpowiednio do skali zdarzenia, kary zawarte w przepisach kodeksu karnego, w tym zwłaszcza grzywny, odszkodowania finansowe dla ofiar pomówień i wezwań do przemocy, a także paletę kar symbolicznych, które byłyby zorientowane na ukorzenie się

autora niedopuszczalnych treści. Ten ostatni element ma szczególne znaczenie psychologiczne w dobie przeniesienia się debaty politycznej do sieci mediów społecznościowych. Dla budowania autorytetu w „bańce” zwolenników niemałe znaczenie ma uzyskanie wizerunku „niepokornego twardziela”. To swoisty macyzm sieci 2.0. Równocześnie jednak znana jest także prawidłowość „Kozak w necie, p**** w świecie”. Poskromienie autorów niedopuszczalnych treści w oczach ich publiczności odbiera im ów nimb „kozaka” i stanowi najbardziej obiecującą drogę walki o ucywilizowanie debaty publicznej we współczesnym świecie.

Obraza i hejt – szare strefy wolności słowa

Spory o dopuszczalność lub niedopuszczalność nabrzmiewają w odniesieniu do pozostałych kategorii wypowiedzi. Jak wcześniej zauważyliśmy, Mill uznawał wolność słowa za wartość samą w sobie, a więc doceniał jej znaczenie dla umożliwienia ludziom wyrażenia tego, co „im w duszy gra”, także gdy nie szły za tym argumenty lub racjonalne przesłanki. Ludzie hołdują różnym przekonaniom, niekiedy irracjonalnym, niekiedy nie do końca je rozumiejąc i potrafiąc uzasadnić, niekiedy przekonania te są dla nich ważnymi symbolami. Często stanowią one o ich tożsamości, a jeszcze częściej są one silnie powiązane z emocjami. W ujęciu liberalnym jednostka ludzka jest ważniejsza niż dowolna zbiorowość. Z tego powodu uznanie prawa człowieka do wyrażania jego tożsamości, ocen i emocji nie podlega dyskusji, także wtedy, gdy nie wnosi nic namacalnego w rozwój wiedzy i oglądu świata, czyli

nie niesie tzw. społecznych korzyści. Wystarczy, że niesie korzyści indywidualne dla mówiącego, który w ten sposób realizuje swoją wolność i zaspokaja inne istotne potrzeby przez ekspresję.

Tymczasem oczywiście emocjonalne oceny człowieka, z jego sympatiami, ale i antypatiami, niechęciami, gniewem, a nawet nienawiścią, bywają nakierowane na innych ludzi. Człowiek często mówi, aby wyrazić swoje poparcie lub sprzeciw. Gdy wiąże z nimi silne emocje, a w dodatku chce być usłyszany w typowej kakofonii, jaką realnie stała się debata publiczna, używa niekiedy ostrych środków wyrazu, a w efekcie niektóre wystąpienia zyskują obraźliwy charakter.

Tutaj dochodzi się do najtrudniejszego punktu debaty o współczesnych granicach wolnego słowa, jakim jest hejt. Hejt jest formą pośrednią pomiędzy

bardzo płynne, odpowiedź o dopuszczalność tego rodzaju wypowiedzi przy założeniu maksymalnych, Millowskich granic wolnego słowa jest niezwykle trudna. O osądzie każdorazowo decydować może nie tylko dobór słów, ale i okoliczności wygłoszenia treści, atak na osobę w jej obecności czy *in absentia*, pojedynczy charakter wypowiedzi czy świadome wplecenie jej w dłuższą „kampanię”, zamiar mówiącego, a także jego rola społeczna, nawet intonacja głosu, gestykulacja czy mimika.

Na pewno wypowiedzi wyrażające niechęć, które zbliżają się do wezwań do sięgnięcia po przemoc mogą być traktowane podobnie jak one i taka jest dziś tendencja przeważająca w dyskusji na ich temat. Wobec degeneracji debaty publicznej i nasycenia jej niskich lotów nienawistnikami, logiczną reakcją jest próba podniesienia wymogów co do odpowiedzialności za słowo. Nawet jeśli autor wy-

Dla budowania autorytetu w „bańce” zwolenników niemałe znaczenie ma uzyskanie wizerunku „niepokornego twardziela”. To swoisty macyzm sieci 2.0. Równocześnie jednak znana jest także prawidłowość „Kozak w necie, p** w świecie**

emocjonalnym i krytycznym wyrazem antypatii i braku poparcia dla danej osoby, grupy ludzi lub zjawiska, a wypowiedzią mogącą stanowić wezwanie do przemocy. Ponieważ obie te granice są

wypowiedzi nie wzywa do fizycznej przemocy, a jednak – jako istota myśląca – musi zdawać sobie sprawę, że kolosalne natężenie uwłaczających osobie krytykowanej słów pobudza emocje i wpływa na

obniżenie bariery zastosowania wobec osoby atakowanej tej przemocy, to powstaje tutaj podstawa do wyciągnięcia konsekwencji.

Nie oznacza to jednak, że każda silnie krytyczna wypowiedź może zostać w ten sposób ograniczona. Istnieje bowiem odwrotna tendencja, aby ograniczać wolność słowa poprzez stosowanie szantażu moralnego. Mianowicie implikuje się, że krytyczne słowa wobec danej grupy ludzi lub idei przez nią podzielanych mogą wpłynąć negatywnie na nastrój odbiorców tekstu z tej gru-

Osoby mocno osadzone w pewnej siatce przywilejów mogą być obarczone koniecznością niesienia cięższego brzemienia krytyki publicznej

py i przykładowo obniżyć ich komfort lub nawet wpłynąć negatywnie na ich zdrowie psychiczne. To oczywiście prawda. Gwałtowna, często obelżywa krytyka nigdy raczej nie wpływa na polepszenie samopoczucia osób krytykowanych. Jednak w tym przypadku rozwiązaniem problemu nie może być cenzura, a jednak unikanie kontaktu z treściami, które mogą wywołać nasz niepokój lub dyskomfort. Należy pamiętać, że istnieje bezpośrednia analogia pomiędzy wezwaniami, aby uciszać i karać za wypowiedzi mogące „obrażać uczucia religijne”, a wezwaniami, aby uciszać i karać za wypowiedzi mogące „wzbudzać poczucie niepokoju wśród osób LGBT”. Je-

śli protestujemy przeciwko cenzurze wypowiedzi pierwszego typu, to nie możemy równocześnie domagać się cenzury wypowiedzi drugiego typu i *vice versa*.

To zabrzmia kontrowersyjnie, a w dzisiejszych czasach ryzykownie, ale ludzie powinni mieć prawo obrażać innych ludzi, dopóki nie stanowi to pomówienia lub wezwania do przemocy. Zwłaszcza osoby publiczne muszą wykazać się „grubszą skórą” i uznać, że jest to jedna z cen do zapłacenia za łatwiejszy dostęp do procesów

związanych ze sprawowaniem władzy w kraju. Osoby mocno osadzone w pewnej siatce przywilejów mogą być obarczone koniecznością niesienia cięższego brzemienia krytyki publicznej. Jest najzupełniej oczywiste, że hejt wobec postanki ze strony niezadowolonych wyborców może być dopuszczony w większym stopniu niż hejt wobec nastolatki ze strony jej rówieśników. Także zakres akceptowalnych środków wyrazu będzie w obu przypadkach inny. Ostatecznie kwestie te w sposób precyzyjny mogą określać niezawisłe sądy rozstrzygające tego rodzaju sprawy z powództwa cywilnego. Już zresztą istnieje bogate orzecznictwo w tym zakresie.

Przyjęcie założenia o maksymalnym zakresie wolności słowa nie będzie zbyt popularne w czasach, w których coraz większy nacisk kładzie się na wspólnotowość i dbałość o komfort funkcjonowania w przestrzeni społecznej, której wyrazem są np. tzw. *safe spaces*. Pogląd, że wolność słowa obejmuje prawo jednej osoby do obrażenia drugiej sam w sobie zapewne brzmi jak zdanie, które wielu chciałoby dziś wykluczyć poza ramy dopuszczalnych wypowiedzi... Zaznaczyć należy jednak, że te powyższe rozważania dotyczą określenia, które wypowiedzi powinny być wykluczone i karane, a które objęte wolnością słowa i wolne od sankcji prawnych i formalnych – stosowanych z majestatu państwa. A przecież istnieje jeszcze cały szereg nieformalnych sankcji społecznych, którymi mogą (i zapewne powinni) być objęci autorzy korzysta-

Dobry smak ma (lub raczej powinien mieć) bowiem znacznie węższe granice niż wolność słowa, a autorzy wypowiedzi powinni się samo-ograniczać, właśnie tymże dobrym smakiem się kierując

jący z wolności słowa w sposób niegodny. Gdy ktoś kogoś wulgarnie obraża, lecz nie ociera się o wezwanie do przemocy i nie stosuje pomówienia, to społeczność ludzi uczestniczących z takim delikwentem w debacie powinna podejmować działania zorientowane na objęcie go infamią lub bojkotem. Problem fatalnego poziomu debaty publicznej w Polsce nie polega na tym, że wolności

słowa jest za dużo, tylko na tym, że żadna ze skonfliktowanych stron tej debaty nie dyscyplinuje ludzi z własnego obozu, którzy w doborze słów posuwają się poza granice dobrego smaku. Dobry smak ma (lub raczej powinien mieć) bowiem znacznie węższe granice niż wolność słowa, a autorzy wypowiedzi powinni się samo-ograniczać, właśnie tymże dobrym smakiem się kierując. W Polsce niestety, obojętnie jak obrzydliwa rzecz zostanie napisana lub powiedziana, spotyka się z obroną lub aprobatą „współplemieńców”. To dlatego nasza debata dziczeje.

Prawicy i lewicy wybiórcze podejście do wolności słowa

Na tym tle przekonanie liberałów, że prawo do szeroko zakrojonej wolności słowa mają wszyscy,

niezależnie od poglądów, będzie niezbyt popularne. Dużo więcej zwolenników znajdzie postawa prawicy wobec wolności słowa. W tej wizji wolność należy ograniczać, gdy pojawia się krytyka wiary religijnej, gdy dziennikarze badają przeszłość Karola Wojtyły, gdy ukazują się skandalizujące dzieła sztuki i teatralne, gdy ktoś ogłasza, że aborcja za granicą jest legalna, gdy ktoś mówi

głośno o przewinach polskich szmalcowników, gdy uczniowie ubierają się na czarno i noszą symbol Strajku Kobiet, albo gdy ktoś sięga w swojej ekspresji po erotykę. Ale za to wolności słowa należy agresywnie bronić, gdy Facebook i Twitter kasują konta prawicowych ekstremistów, gdy arcybiskup chce skarcić osoby LGBT (lub, w zasadzie, dowolne inne osoby), gdy samorządy ogłaszają „strefy wolne od LGBT”, gdy wykładowczynie uniwersytetu poświęca zajęcia na ewangelizację studentów, gdy aktywiści prezentują wielkoformatowe zdjęcia rozerwanych płodów w środku miasta, lub gdy pracownik Ikei cytuje fragmenty Biblii.

Jednak niemało sympatii zyska także postawa lewicy wobec wolności słowa. W tej wizji wolność należy ograniczać poprzez *cancel culture* za wszelkie wypowiedzi lub żarty ocierające się o „klasizm”, rasizm, homofobię, neoliberalizm, seksizm czy *body-shaming*, stare książki trzeba pisać na nowo, aby usunąć z nich „niepokojące fragmenty” (cenzorów

zajmujących się tym Orwellowskim działaniem nazywano pięknie – „*sensitive readers*”), zaimki mają stać się przedmiotem stałego wzmożenia, uciszyć należy również klimatycznych denialistów oraz antyszczepionkowców, w końcu zakres dostępnej dla mówcy wolności słowa nie musi być równy, a zależny od jego płci, wieku, koloru skóry, wyznania, orientacji seksualnej oraz wagi ciała. Wolność słowa powinna być tym agresywniej bronią, do im większej liczby mniejszości mówca należy. Poza tym bezwzględnie należy się ona przeciwnikom religii, zwolennikom diety roślinnej, transportu rowerowego i wysokich podatków.

Jak nietrudno odgadnąć, każdy kto może w jednej lub drugiej koncepcji uzyskać przywileje co do zakresu wolności słowa, będzie wolał tę koncepcję od stanowiska liberałów, że oto każdy człowiek zasługuje na taką samą wolność słowa i że może powiedzieć niemal wszystko, co zechce. Także jeśli ciebie to oburza...- ". ●

L!

„Bariery dla liberalizmu” Piotra Beniuszysa w Bibliotece Liberté!

Spoiwem dla 27 esejów zawartych w książce jest naświetlenie współczesnych realiów percepcji liberalizmu w jego zderzeniu się z różnorodnymi myślowymi czy mentalnościowymi barierami, często głęboko zakodowanymi w człowieku, które utrudniają – od zawsze lub we wzmożony sposób ostatnio – umacnianie liberalnych postaw i odnoszenie przez ideę kolejnych sukcesów w politycznych starciach z konkurencyjnymi sposobami myślenia.

Kluczem do przezwyciężenia kryzysu liberalizmu może się okazać nie zmiana idei liberalnej na chwilowo bardziej modną, lecz zmiana mentalności ludzi, wraz z przetaczaniem się jednych kryzysów, pojawianiem innych, zmianami pokoleniowymi. Wydaje się, że liberałowie potrzebują odwagi. Po to, aby z większą determinacją bronić własnych wartości przed nacjonalistami, socjalistami, klerykatami i populistami. Ale potrzebują także odzyskać zdolność wlewania w serca ludzi otuchy, odwagi i optymizmu. Zebrane w tej książce teksty mogą pomóc tej odwadze poszukiwać.



PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, tłumacz, specjalista w dziedzinie historii liberalizmu i ewolucji zachodnioeuropejskich partii liberalnych, członek zespołu redakcyjnego i publicysta „Liberté!”, pisał także na łamach „Gazety Wyborczej”, tygodnika „Polityka”, „Dziennika Gazety Prawnej” oraz dla Instytutu Obywatelskiego. Autor książki „Bariery dla liberalizmu. Antologia tekstów” (Biblioteka Liberte, 2022).
Twitter: @piotr_beniuszys



JĘZYKOWE STRATEGIE WYKLUCZANIA NA PRZYKŁADZIE LUDZI ZBĘDNYCH*

MAGDALENA SZPUNAR

Wskaźnikiem dojrzałości demokracji są postawy związane z wrażliwością społeczną i prospołecznością, która może i powinna dotyczyć w sposób szczególny tych, którzy funkcjonują na marginesach, nie radząc sobie z różnych przyczyn z twardymi regułami neoliberalnego świata.

Produkcja ludzi-odpadów, ludzi-odrzuć, czy też ludzi na przemiał stanowi zdaniem Zygmunta Baumana nieunikniony skutek modernizacji, będąc efektem ubocznym zaprowadzania ładu. Dobrze funkcjonujące społeczeństwa zapewniły miejsca pracy dla wszystkich i wysoką wydajność każdego. Każdy pieczołowicie konstruowany ład odtrąca jednak część populacji, traktując ją jako zbiorowość osób „nie na swoim miejscu”, „nie pasujących do reszty”, czy wreszcie jako „elementy niepożądane”. Ludzie zbędni są niewidoczni, nieostrzegani, to ci, których mijamy każdego dnia nie zauważając ich obecności, a przecież przynależą do społeczeństwa. Ich zbędność intensyfikuje fakt, iż traktuje się ich jako osoby, które należy utrzymywać, zapewniać im środki do przetrwania, tym samym postrzegając ich jako pasożytujących na innych. Mamy do czynienia ze wzrastającą grupą ludzi, którzy zostali pozbawieni niezbędnych zasobów do przetrwania biologicznego, jak i społeczno-kulturowego (Bauman, 2005, s.15). Inaczej ujmując, żyjemy w świecie ludzi uprzywilejowanych i nieuprzywilejowanych, a owa człowiecza dychoetomia jest coraz wyraźniejsza, dzieląc ludzi na „niezbędnych i ludzi zbędnych, pozbawionych faktycznych praw, niepotrzebnych, nieważnych, nieistniejących” (Stawiszyński, 2021, s. 33). Pęknięcie na tych, którzy są niezbędni, potrzebni, a tym samym uprzywilejowani, w opozycji do zbędnych, marginalizowanych i wykluczanych staje się coraz bardziej wyraźne i dojmujące. Humanizm domaga się dopominania o los tych, który wielu jest obojętny, a także podjęcia działań, które mogą minimalizować negatywne skutki wykluczania i stygmatyzowania zbędnych.

Ludzie-odpady – w sensie Baumanowskim – to ludzie zbędni. Ich zbędność łączy się z bezużytecznością, byciem niepotrzebnym, nadliczbowym, nadprogramowym. Społeczeństwo przekonuje takie osoby, że doskonale się bez nich obywat, tym samym pozbawiając ich prawa do bycia dostrzeżonym i docenionym. Przywołajmy Baumana, by trafniej zobrazować kluczową dla naszych rozważań kategorię zbędności: „Uznać kogoś za »zbędnego« znaczy wyrzucić go dlatego, że przeznaczony jest do wyrzucenia jak pusta i bezzwrotna plastikowa butelka albo zużyta jednorazowa strzykawka, nieatrakcyjny towar, na który nie ma nabywców albo bezużyteczny, wybrakowany lub uszkodzony produkt zdjęty z taśmy przez kontrolerów jakości” (Bauman, 2005, s. 25). Coraz częściej dane jest nam obserwować proces, w którym ludzi traktuje się jak rzeczy, a rzeczy jak ludzi. Pojęcie zbędności uzmysławia, że nie jest to stan anomalii, przejściowej dysfunkcji, czy tymczasowej nieprawidłowości. Jest to raczej stan, w którym aprobeuje się aberrację, traktując ją jako integralny element rzeczywistości. Zbędność wydaje się naturalnie łączyć z tym, co traktujemy jako odrzut, opad, śmieć, a w konsekwencji zbędny balast.

Ludzie zbędni to ludzie zdeklasowani, uważani za bezużytecznych i co jeszcze bardziej dojmujące – sami za zbędnych się uznający. Pogodzeni z beznadzieją własnego losu nie próbują o nic walczyć i prosić. To ci, o których nikt nie dba, nikt o nich nie myśli, wydrenowując ich byt z jakiegokolwiek istotności. To wszyscy ci, którzy któregoś dnia otrzymali komunikat „o likwidacji”, nie potrafiący

się dostosować do nowych warunków, „ludzie upadku” bankrutujących zakładów pracy, ale także pracownicy PGR-ów internalizujący wyuczoną bezradność, zwolnieni w ramach rozmaitych restrukturyzacji. Ważną kategorią, nad którą warto się pochylić, jest syndrom wyuczony bezradności. Jest on zwykle definiowany jako pewien wyuczony stan reagowania na trudne, nieprzyjemne sytuacje, których jednostka nie potrafi uniknąć, albo też, nie ma możliwości wycofania się z nich (Seligman, 2002, Jarmakowski, 2009, Gąsiorowska, Grochowska, 2012). Jak wskazuje Martin Seligman, jednostki przejawiające w swoich zachowaniach wyuczoną bezradność nie potrafią funkcjonować bez wspar-

ciem. Jeśli jednostka uznaje, że sukcesy ale także porażki stanowią wypadkową jej własnej pracy, zaangażowania, cech osobowości, wtedy mówimy o wewnętrznym poczuciu kontroli. Jednostka z wewnętrznym poczuciem kontroli sobie przypisuje sprawczość nad tym, czego doświadcza. Osoby z wewnętrznym poczuciem kontroli są samodzielne, skuteczne i efektywne w realizowanych działaniach. Przejawiają większą elastyczność i aktywność w przypadku pojawienia się sytuacji problemowej, szybko się uczą i potrafią uczyć się na własnych błędach. Przeciwnością takich osób są jednostki o zewnętrznym poczuciu kontroli, które są przekonane, że ich sytuacja życiowa to wypadko-

Żyjemy w świecie ludzi uprzywilejowanych i nieuprzywilejowanych, a owa człowiecza dychotomia jest coraz wyraźniejsza, dzieląc ludzi na „niezbędnych i ludzi zbędnych, pozbawionych faktycznych praw, niepotrzebnych, nieważnych, nieistniejących”

cia społecznego z zewnątrz, ich poczucie sensu życia jest niskie, mają poczucie krzywdy, a tych którym wiedzie się lepiej od nich, traktują wrogo i z nieufnością. To właśnie te osoby najczęściej przejawiają pesymistyczne skrypty wyjaśniania doświadczeń życiowych.

Wyuczona bezradność mocno wiąże się z poczuciem kontroli nad wzmocnieniami (Rotter 1966). Jedną z kluczowych zmiennych różnicujących ludzi stanowi poczucie kontroli nad własnym ży-

wa zbiegu okoliczności, przypadku, czy też celowego działania innych ludzi (Rotter 1966). Osoby z zewnętrznym poczuciem kontroli są szczególnie podatne na wystąpienie u nich syndromu wyuczony bezradności.

Pojawienie się zachowań określanych jako wyuczona bezradność stanowi wypadkową reakcji na sytuacje niekontrolowane, które zostają przez jednostkę zinterpretowane jako takie, na które ona nie ma wpływu (Domachowski, 2002). Oznacza



to, że jednostka przyswaja myślenie, które prowadzi do przekonania, iż podjęcie określonych czynności nie wiąże się z uzyskaniem pożądanych przez nią efektów. Inaczej ujmując - jednostka uczy się, iż pomiędzy podjęciem działania, a niepodejmowaniem go nie ma właściwie żadnych istotnych różnic, co prowadzi do dominacji w jej zachowaniu bierności, apatii, a w konsekwencji rezygnacji z podejmowania jakichkolwiek aktywności.

Istotne znaczenie dla procesu kształtowania się syndromu wyuczony bezradności ma reprezentowany przez jednostkę sposób rozumienia

i interpretowania własnych niepowodzeń i porażek. Jeśli jest on pesymistyczny, z wysokim prawdopodobieństwem prowadzi do krystalizowania się wyuczony bezradności. Zniekształcenia poznawcze, które dotyczą ludzi zbędnych, przejawiają się w dominacji myślenia opartego o wyuczony bezradność, co sprawia że postrzegany związek pomiędzy działaniem, a jego efektem ma charakter negatywny. To właśnie ludzie zbędni szczególnie często mogą doznawać tego, co określa się mianem treningu bezradności (Sędek, 1991), oznaczającego wielokrotne i powtarzające się doświadczenia, które wywołują odczucie niemożności

konstruktywnego rozwiązania problemu. Pierwsze tego typu doświadczenia mogą się rozpocząć już w szkole, kiedy uczeń, który otrzymuje etykietkę słabego, pomimo podjętych wysiłków, by poprawić swoje wyniki nie może wyjść z zakłętego kręgu słabego ucznia. Bywa tak, że osoba dorosła, osiągająca życiowe sukcesy, ocenia swoją wartość poprzez pryzmat ocen, które otrzymywała w szkole.

Proces dehumanizacji, odbierania ludziom podmiotowości, ich urzeczowienia zwykle rozpoczyna się od wykluczającego i stygmatyzującego języka. Jak trafnie zauważa Guy Standing: „Walka o uznanie (...) dotyczy legitymizacji grupy jako bytu społecznego. To walka o zmianę wyobrażenia na temat

zbawić kogoś podmiotowości. W koncepcji piramidy nienawiści Gordona Allporta (1954) proces wrogości rozpoczyna się od negatywnych określeń i komentarzy wobec osób lub grup społecznych. To one prowadzą do unikania odmiennych osób lub grup, które bywają uznawane za gorsze. Zbędność prowadzi do dyskryminacji, a ta nierzadko do bezpośrednich ataków fizycznych. Ekstremum piramidy nienawiści staje się eksterminacja, czyli masowa eliminacja całych grup społecznych, czego przykładem była eksterminacja ludności żydowskiej w okresie II wojny światowej. Proces dehumanizacji, a w konsekwencji uznawania ludzi za zbędnych odbywać się może na co najmniej kilku poziomach. Szczególnie odczłowieczająca wydaje się opisy-

Językowy proces odczłowieczania ludzi obserwujemy poprzez nadawanie etykiet językowych i stygmatyzujących określeń. W przypadku wspomnianych już uchodźców posługiwano się takimi określeniami jak „dzika horda”, „barbarzyńska dzicz”, czy „islamskie bestie”. Trzeba również zwrócić uwagę na stygmatyzujące uchodźców określenia intensywnie czerpiące z retoryki wojennej. O uchodźcach często mówiono jako o „islamskim

oczekuje się, że niezależnie od okoliczności będą tak samo wydajni, podobnie jak uczniowie czy studenci. I choć wiele mówi się o procesach humanizacji pracy, trudno zauważyć, by przełożyło się to na konkretne działania, czy zmianę filozofii myślenia o człowieku w organizacji. Konsekwencją upowszechnienia się strategii uprzedmiotawiania i mechanizacji ludzi może być dehumanizujące niedostrzeżenie, tak typowe dla kategorii ludzi zbęd-

Językowe etykiety i potoczne powiedzenia typu „dzieci i ryby głosu nie mają” pokazują, w jak łatwy sposób można pozbawić kogoś podmiotowości

Osoby z wewnętrznym poczuciem kontroli są samodzielne, skuteczne i efektywne w realizowanych działaniach. Przejawiają większą elastyczność i aktywność w przypadku pojawienia się sytuacji problemowej, szybko się uczą i potrafią uczyć się na własnych błędach

klasy oraz modeli wyzysku i opresji. To także walka o odzyskanie języka” (Standing, 2014, s. 24). Zwykle pozbawieni języka, pozbawiani są swoich praw, nie mają możliwości wyrażania sprzeciwu, a inni wypowiadają się za nich. Językowe etykiety i potoczne powiedzenia typu „dzieci i ryby głosu nie mają” pokazują, w jak łatwy sposób można po-

wana przez Fromma i Kępińskiego strategia, którą określić możemy jako *uprzedmiotawianie* ludzi, która przejawia się poprzez postrzeganie drugiego człowieka jako przedmiotu, czy towaru, czego przykładem może być korporacyjny język traktujący wyzyskiwanych pracowników jako „odnawialne zasoby”.

taranie”, „najeźdźcach”, „kolonizatorach”, uznając iż dokonują oni „najazdu”, „podboju”, czy „szturmu”. Owe nieuzasadnione wyolbrzymienia podsyciły lęki, napawały niepokojem, wzmacniając postawy niechęci wobec obcych, którzy postrzegani byli jako zagrożenie. Obawy wobec uchodźców intensyfikowały również liczne metafory wodne, obfitujące w określenia typu „fala”, „zalew”, „napływ”, wywołujące skojarzenia z klęską żywiołową, której nie sposób opanować i na którą społeczeństwo nie ma wpływu.

Z uprzedmiotawianiem łączy się *strategia mechanizacji* ukazująca ludzi analogicznie jak maszyny, a więc podmioty pozbawione uczuć, emocji, pracujące zawsze tak samo wydajnie, nie mające prawa okazywać słabości¹. Od pracowników

nych. Niedostrzeżenie przejawia się w wykluczeniu, ignorowaniu, czy niedopuszczaniu do głosu. Mechanizm ten możemy obserwować chociażby w stosunku do dzieci, do których rzadko podchodzi się podmiotowo. Nie mniej niebezpieczna staje się strategia animalizacji i biologizacji, tak często widoczna chociażby w dyskursie dotyczącym uchodźców. Polega ona na tym, iż ludziom przypisuje się właściwości zwierząt, albo właściwości typowe dla zagrożenia o charakterze biologicznym budząc tym samym nieuzasadniony lęk i wstręt, czego przykładem są określenia stosowane wobec ludzi typu: „szarańcza”, „robactwo”, „insekty”, „zaraza”, czy „brudasy”.

Niefortunnym, mocno stygmatyzującym określeniem jest sformułowanie „nielegalny imigrant”. Termin ten

sugeruje działania migrantów, które odbywają się spoza prawem i z łamaniem przepisów. Postuluje się, by używać języka włączającego, pro-uchodźczego, który zwraca uwagę na to, iż człowiek nie może być nielegalny, jedynie jakieś jego działanie lub czyn może mieć taki charakter. Trafniejszym i bardziej adekwatnym terminem są określenia typu „migrant o nieregulowanym statusie”, czy „migrant nieudokumentowany”.

Zwrócić trzeba uwagę na jeden z niepoprawnych, a częściej stosowanych terminów tj. tak zwany „kryzys uchodźczy”. To właśnie ten termin kieruje naszą uwagę na zagrożenia, które uchodźcy mogą potencjalnie wywoływać, zamiast na ich dramatyczną

sytuację, ucieczkę przed wojną, nierzadko wymuszoną konieczność, by ocalić życie swoje i najbliższych. Jeśli mówić o kryzysie, to raczej powinno się mówić o kryzysie polityk migracyjnych, które nie radzą sobie z napływem uchodźców, obnażając brak przemyślanej i efektywnej polityki azylowej, a także skutecznych rozwiązań w tym względzie na poziomie krajowym. O kryzysie z pewnością należy mówić w kontekście postaw wobec uchodźców i nierzadko jawnej, otwartej wobec nich niechęci.

Nasz język ma ogromny wpływ na to, jak odbierani i traktowani są uchodźcy w naszym kraju. Stygmatyzujący, wykluczający a nawet otwarcie wrogi język wzmacnia nieprzyjazne postawy wobec

uchodźców, intensyfikując nasze obawy wobec obcych. Jak zauważa Bauman, obcy są „wielką niewiadomą” (Bauman, 2016, s. 117), z którą musimy się zmierzyć. Zagrożające metafory, skrajnie nacechowane terminy pogłębiają dehumanizację obcych, których z łatwością traktujemy jak ludzi gorszej kategorii, Baumanowskich ludzi zbędnych. Celem stosowania języka uwrażliwiającego nie jest tak zwana poprawność polityczna, ale przede wszystkim uświadomienie sobie, że to, w jaki sposób mówimy determinuje to, w jaki sposób myślimy, odstawiając sprawczą moc języka. Warto posługiwać się takim językiem, który wolny jest od stygmatyzacji, niepowielający dehumanizacyjnych kalek językowych.

Ludzie-odpady to obecnie nie tylko bezrobotni, czy osoby znajdujące się w złej sytuacji materialnej. Element materialny wydaje się tracić na znaczeniu.

człowieka zbędnego. Ludźmi-odpadami stają się także całe narody wykluczane przez media, pojawiające się w naszej świadomości jedynie na chwilę, kiedy to medialne reflektory kierują naszą uwagę na dotyczące ich kataklizmy, czy inne zbiorowe nieszczęścia. Mało kogo zajmuje dzisiaj los tysięcy uchodźców, pakistańczyków, czy hindusów pracujących za marne wynagrodzenie w urągających ludzkiej godności warunkach. To wypadkowa fragmentaryzacji świata, o której w wykładzie noblowskim wspominała Olga Tokarczuk (2020, s. 279), przejawiającej się w postrzeganiu świata jako niepowiązanych ze sobą elementów. Dzięki temu zakupiona przez nas odzież nie jest kojarzona z nie-ludzkimi warunkami azjatyckich fabryk, zwalniając nas z odpowiedzialności za dokonywane przez nas wybory i sytuację ludzi zbędnych. W rozumieniu perspektywy ludzi postrzegających się jako zbędnych istotne jest kształtowanie tego, co Martha

Niefortunnym, mocno stygmatyzującym określeniem jest sformułowanie „nielegalny imigrant”. Termin ten sugeruje działania migrantów, które odbywają się spoza prawem i z łamaniem przepisów

Przynależność do ludzi-odpadów definiuje raczej poczucie nonsensowności istnienia, funkcjonowanie w stanie życiowej wegetacji, ale także przekonanie o braku własnej sprawczości. W neoliberalizmie niemal każdy, niezależnie od posiadanych kompetencji czy kwalifikacji może być uznany za

Nussbaum określa mianem wyobraźni współczującej (Nussbaum, 2008), oznaczającej umiejętność widzenia siebie na miejscu kogoś innego i patrzenia na świat jego oczami. By móc współodczuwać, konieczne jest wyjście poza perspektywę *mnie* to *nie dotyczy*, gdyż tylko takie spojrzenie uwrażliwia



na nieszczęście drugiego. Pielęgnowanie w sobie empatycznej wyobraźni pozwala z zaangażowaniem, ale i aktywną troską spojrzeć na tych, którym społeczeństwo odmawia prawa do bycia widzialnym.

To właśnie społeczeństwa wysokorozwinięte powinny ze szczególną troską pochylać się nad losem tych, o których nie chce się z różnych względów pamiętać. Wiele zapalnych i trudnych problemów

nością, która może i powinna dotyczyć w sposób szczególny tych, którzy funkcjonują na marginesach, nie radząc sobie z różnych przyczyn z twardymi regułami neoliberalnego świata. Ważna jest taka pomoc, która umożliwi wyjście z zamkniętego koła bezradności, wypracowanie nowych schematów interpretowania świata, nieopartych o negatywizm i fatalistyczne skrypty wzmacniające wyuczoną bezradność. Bez zmiany pesymistycznych schematów poznawczych nie jest możliwa

Celem stosowania języka uwrażliwiającego nie jest tak zwana poprawność polityczna, ale przede wszystkim uświadomienie sobie, że to, w jaki sposób mówimy determinuje to, w jaki sposób myślimy, odsłaniając sprawczą moc języka

można i należy rozwiązywać w dialogu. To dialog daje możliwość zetknięcia się z odmiennością, zrozumienia jej, wnikięcia w perspektywę innego, minimalizując obawy i nieuzasadnione lęki, które u ludzi zbędnych są szczególnie silne, bowiem sami czują się niepewni i niewysłuchani, zatem budują chwiejne poczucie własnej wartości umniejszając słabszych. Ważne jest używanie języka, który ma charakter włączający, rozumiejący, inkluzywny, wolny od stygmatyzacji i etykietowania wzmacniającego wykluczenie.

Wskaźnikiem dojrzałości demokracji są postawy związane z wrażliwością społeczną i prospołecz-

zmiana sytuacji społecznej ludzi zbędnych. Dużą rolę w tym procesie upatrywać należy w systematycznej pracy pedagogicznej budującej u młodego człowieka poczucie sprawczości, wiary we własne możliwości, aktywizmu i zaangażowania. To właśnie od pracowników szkół wiejskich i małomiasteczkowych zależy niejednokrotnie los przyszłych ludzi zbędnych, którzy od najwcześniejszych etapów edukacji otrzymują bądź też nie określony rodzaj wsparcia nie tylko edukacyjnego, ale emocjonalnego. Szczególnie w środowiskach wiejskich, zapomnianych, funkcjonujących na marginesach tego co oficjalne, jest wyjątkowo dużo pracy do wykonania. ●

Przypis:

¹ Co ciekawe, odwrotny proces obserwuje się w przypadku maszyn, które podlegają procesowi ucłowieczania, czego przykładem może być stosowanie przymiotnika smart w odniesieniu do telefonów komórkowych, telewizorów, nowoczesnego sprzętu elektronicznego. Humanizuje się także oprogramowanie, gdy mówimy na przykład o sztucznej inteligencji, której przypisuje się cechy autonomicznego podmiotu.

Literatura:

Allport, G. (1954). *The Nature of Prejudice*. Boston: Massachusetts, Addison-Wesley.
 Bauman, Z. (2016). *Obcy u naszych drzwi*, Warszawa: PWN.
 Bauman, Z. (2005). *Życie na przemiał*, Kraków: Wydawnictwo Literackie.
 Domachowski, W. (2002). *Przewodnik po psychologii społecznej*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
 Gąsiorowska, M., Grochowska A. (2012). Spójność pojęciowa komunikatu perswazyjnego: rola prywatnych teorii rzeczywistości, wyuczonej bezradności i afektu, „Przegląd Psychologiczny”, 55, 233-252.
 Jarmakowski, T. (2009). Styl atrybucji, poczucie kontroli i płeć a podatność na powstawanie syndromu wyuczonej bezradności, „Acta universitatis lodziensis folia psychologica”, 13, 55-73.

Nussbaum, M. C. (2008). *W trosce o człowieczeństwo. Klasyczna obrona reformy kształcenia ogólnego*, Wrocław: Wydawnictwo Dolnośląskiej Szkoły Wyższej.
 Rotter, J. (1966). *Generalized expectancies for internal vs. external control of reinforcement*, „Psychological Monographs” 80.
 Seligman, M. (2002). *Optymizmu można się nauczyć*, Poznań: Media Rodzina.
 Sędek G. (1991). *Jak ludzie radzą sobie z sytuacjami, na które nie ma rady?*. w: *Złudzenia, które pozwalają żyć* red. Mirosław Kofta, Teresa Szustowa, Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe.
 Standing, G. (2014). *Prekariat. Nowa niebezpieczna klasa*, przeł. K. Czarnecki, Warszawa: PWN.
 Stawiszyński, T. (2021). *Co robić przed końcem świata*, Warszawa: Agora.
 Szpunar, M. (2022). *Ludzie zbędni. Od ludzi luźnych do prekariuszy*, w: „Colloquium”, 4, s. 145-163.
 Tokarczuk, O. (2020). *Czuły narrator*, Kraków: Wydawnictwo Literackie.

* Tekst powstał na bazie artykułu autorki *Ludzie zbędni. Od ludzi luźnych do prekariuszy*, „Colloquium”, 2022/4, s. 145-163.



MAGDALENA SZPUNAR

Profesorka nauk społecznych. Pracuje na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Autorka m.in. monografii: „Kultura cyfrowego narcyzmu”, „Kultura algorytmów”, „(Nie)potrzebna wrażliwość”, „Imperializm kulturowy internetu”. Prowadzi stronę domową: www.magdalenaszpunar.com

WOLNOŚĆ SŁOWA: PRAWO CZY PRZYWILEJ?

MAGDALENA M. KAJ-CHĘCIŃSKA

Wszyscy wiemy, że media społecznościowe od kilku lat są główną platformą, z której czerpiemy wiedzę niezbędną, potrzebną i całkiem nieprzydatną. Media społecznościowe to także miejsce, gdzie w atmosferze absolutnej bezkarności możemy zostawić nienawistny lub głupi komentarz.

Od nieco ponad roku mam konto na Instagramie. W porządku – prowadzę instagramowe konto dokumentujące życie i przygody mojego jamnika. Oglądam jednak i śledzę trochę kont, zarówno polskich, jak i zagranicznych i za każdym razem zastanawiam się nad dwiema kwestiami: czemu to oglądam i czemu oni to nagrywają? Media społecznościowe są najlepszym dowodem na to, że absolutna wolność słowa prowadzi do mówienia o absolutnie wszystkim.

Wszyscy wiemy, że media społecznościowe od kilku lat są główną platformą, z której czerpiemy wiedzę niezbędną, potrzebną i całkiem nieprzydatną. Media społecznościowe to także miejsce, gdzie w atmosferze absolutnej bezkarności możemy zostawić nienawistny lub głupi komentarz.

Wreszcie – media społecznościowe to miejsce pracy tysięcy aspirujących gwiazdek, celebrytów, projektantów, modelek, piosenkarzy czy aktorów. A im większa liczba obserwowanych profili oraz zasięgów, tym większa kasa. Nie od dzisiaj wiemy, że o kasę w tym wszystkim chodzi, nawet jeśli będziemy utrzymywać, że jest inaczej.

Żeby więc nadal dużo zarabiać, nie wystarczą zdjęcia w ponętnych pozach czy

kody rabatowe na aktualnie promowane produkty. Należy też do obserwatorów mówić. Najlepiej zacząć od porannych relacji – popularnością cieszy się nagrywanie podczas prowadzenia samochodu (bo przecież celebrytów i influencerów przepisy drogowe nie obowiązują), następnie płynne przejście do relacji z fotela dentystycznego, fryzjerskiego, ba!, nawet ginekologicznego, kończąc na relacjach z kąpielii, przygotowaniu na wieczorne wyjście czy nadawaniu bezpośrednio z łóżka.

Za każdym razem, kiedy popełnię błąd i zdecyduję się obejrzeć takie wypowiedzi, uderza mnie:

- używanie jakiejś paskudnej, niechlujnej i niepoprawnej polszczyzny;
- wtrącanie angielskich słówek;
- nadużywanie słowa „kochani” w odniesieniu do widzów;
- plectenie o rzeczach nieistotnych w tonie co najmniej odkrycia nowej planety.

Oczywiście, takie mamy czasy, takie mamy autorytety i wyroczenie.

Rozmyślanie o tym, że ideał sięgnął bruku, a my doszliśmy do takiej sytuacji to zadanie na zupełnie inny moment.

Rozmyślanie o tym, że nie każdy powinien się odzywać lub co najmniej, nim się odezwie – przemyśli swoją wypowiedź, jest jak najbardziej na miejscu.

Funkcjonujemy w czasach, które dają nam na tyle demokratyczne narzędzia, że każdy z nas ma szansę powiedzieć, co chce.

Traktujemy naszą wolność słowa, poglądów i wypowiedzi jako rzecz oczywistą, a nawet – codzienną i powszednią, w związku z czym nie doceniamy jej tak, jak powinniśmy. Tracimy czas, energię i uwagę naszych odbiorców

na plecenie o rzeczach nieistotnych i głupich, zapominając o tematach ważnych.

Traktujemy siebie jako eksperta od spraw wszelakich, wyrocznie wręcz, nadużywając słów tam, gdzie wystarczy cisza.

Nie wiemy, w którą stronę zmierza świat (obstawiam, że raczej w niewłaściwą), ale wiemy, że nic nie jest dane na zawsze, tak samo wolność wypowiedzi, słowa i poglądów.

Traktujmy więc i ją z szacunkiem – wolność słowa jest naszym przywilejem, a nie prawem. ●

„Antropocen dla początkujących” w Bibliotece Liberté!

Prędzej czy później każdy z nas zmuszony będzie zmierzyć się z pytaniem: czy odnajdę w sobie wystarczająco dużo odwagi i roztropności, by zapobiec zniszczeniu się najczarniejszego scenariusza katastrofy ekologicznej?

„Antropocen dla początkujących” to zbiór literacko-reporterskich rozważań o tym, jak kwestie środowiska naturalnego łączą się z zagadnieniami społeczno-politycznymi, gospodarczymi i kulturalnymi. Autor zabiera czytelników w podróż po zmieniającym się świecie epoki człowieka, w sposób wielowymiarowy ukazując skalę wyzwań i problemów, przed jakimi stawia nas postępujący antropocen.

Eseje Juraszka są opowieścią o tym, co bezpowrotnie utraciliśmy, ale również o tym, co wciąż jeszcze zyskać możemy. O zaprzepaszczonej szansach, ale i nadziejach na nowy, lepszy początek.



MAGDALENA M. KAJ-CHĘCIŃSKA

Poznanianka z urodzenia, warszawianka z wyboru. Z wykształcenia politolog, przez wiele lat pracowała w sektorze pozarządowym w Polsce i Wielkiej Brytanii. Aktywistka, od prawie 20 lat zaangażowana w działalność społeczno-polityczną oraz dialog międzykulturowy.

GDY CENZURA MOŻE BYĆ LEPSZA NIŻ WOLNOŚĆ SŁOWA

ANNELIESE MISTEL

Politycy, firmy czy nawet kultura dopasowują się do tych niepisanych wymagań, ku satysfakcji znaczącej części obywateli. Czy cenzura może być akceptowana, skoro społeczeństwa zaczynają zwracać się samoistnie przeciw stawianej na piedestale wolności słowa?

Świat demokratyczny jednogłośnie przyjął wolność słowa za jedną z najważniejszych, jeśli nie fundamentalną zasadę swojego istnienia. Zasadność tego przekonania w ostatnim czasie jest jednak coraz bardziej podważana. Nie wprost, ale przez poboczne działania wyznaczające granice między tym, co jest społecznie akceptowane, a tym co nie jest. Coraz większą popularność zdobywa zjawisko *cancel culture*, polegające na bojkocie słów i czynów uznanych za niepożądane. Praktyki nurtu *woke*, oficjalnie walczącego z dyskryminacją, do złudzenia zaczynają przypominać cenzurę i choć prawnie nic się nie zmieniło, mogą wpływać na życie prywatne i zawodowe w sposób wiążący. Mimo że zasady nie są jasno określone, każdy mniej więcej wie, co wypada. Politycy, firmy czy nawet kultura dopasowują się do tych niepisanych wymagań, ku satysfakcji znaczącej części obywateli. Czy cenzura może być akceptowana, skoro społeczeństwa zaczynają zwracać się samoistnie przeciw stawianej na piedestale wolności słowa?

Gdy strach wyzwala bardziej niż prawda

Cancel culture zrodziło się z poczucia krzywdy. Na popularności zyskało dzięki ruchowi #Me-Too, gdy skala społecznej presji przełożyła się na wymierzanie sprawiedliwości przestępcom seksualnym, którzy przez wiele lat jej się wymykali, nierzadko dzięki środowiskowej zмовie milczenia. Wkrótce okazało się, że społeczny ostracyzm często był skuteczniejszy niż formalne

sposoby dochodzenia swoich racji. Dzięki rażącej sile zaczął przynosić efekty. Nawet jeśli miały one charakter pozorny i raczej ograniczały się do zamykania ust, niż wpływały na zmianę poglądów, to dawały osobom wykluczonym poczucie, że jest jakaś instancja gwarantująca w razie czego ochronę.

Ruch *woke* w swoim założeniu ma stać w obronie osób historycznie wykluczanych i dyskryminowanych, którzy często stanowią mniejszości i nie posiadają wpływów na szczeblach władzy. Ich przedstawiciele mają uzasadnione obawy, by nie ufać państwowemu wymiarowi sprawiedliwości. Kobiety od dawna znają poczucie obezwładniającej bezradności, towarzyszącej zgłaszaniu molestowania, która nierzadko oznacza długie, a przede wszystkim upokarzające dochodzenie. Standardem stało się oburzające przerzucanie winy na ofiarę znanymi jak stary szlagier słowami o „prowokowaniu strojem” albo wzbudzanie poczucia „świadomości o zmarnowaniu życia” napastnika. Dopełnieniem są śmiesznie niskie albo nieskuteczne kary za przemoc wobec kobiet. Osoby LGBTQ są podobnie przyzwyczajone do cichego przyzwolenia społecznego na ich marginalizację i stosowaną wobec nich przemoc. Od nalołów na bary dla homoseksualistów, aż po zdarzające się do dzisiaj przypadki brutalnych napaści. W Stanach Zjednoczonych, kolebce ruchu *woke*, dla osób czarnoskórych spotkanie z funkcjonariuszem policji może zakończyć

się nawet śmiercią, za którą trudno oczekiwać kary adekwatnej do czynu. Dlatego tak dużą popularność zdobył ruch *Black Lives Matter*, będący masowym wystąpieniem przeciwko rasowej niesprawiedliwości. Dyskryminowane mniejszości, niezależnie od różnic między nimi, łączy wspólny mianownik. Jest to głębokie przekonanie, że ich bezpieczeństwo stale jest zagrożone, a co ważniejsze, nie mogą liczyć na wsparcie ze strony odpowiednich organów do tego formalnie powołanych. Ruch *woke* zaczął zaspokajać rosnący wobec niewydolności państwa popyt na sprawiedliwość, funkcjonując jako coś alternatywnego do policji.

Strach prowadzi do radykalnych kroków, zwłaszcza jeśli przez swoją ciągłość jest głęboko zakorzeniony. Grupy marginalizowane często są wyczulone na określone słowa, które są wykorzystywane jako narzędzia opresji i otwartej dyskryminacji. Nikogo nie przerażałby kontrowersyjny Jordan Peterson, gdyby nie fakt,

Wolność słowa bez powiązania z odpowiedzialnością za słowo potrafi wyrządzić bardzo wiele szkód

że jego poglądy są wykorzystywane do uzasadniania sprzeciwu wobec równouprawnienia kobiet. Sceptyczne, nierzadko tendencyjne opinie J.K. Rowling na temat praw osób transpłciowych wywołują lęk wśród marginalizowanej społecz-

ności, a zwłaszcza w ojczyźnie pisarki, gdzie w 2022 roku odnotowano wzrost przypadków przemocy wobec takich osób o 56% względem roku poprzedniego – największy wśród zbrodni motywowanych nienawiścią. Z drugiej strony obrońcy Rowling przywołują cytaty wyrażające zrozumienie dla osób trans. Pisarka w odpowiedzi na konsekwencje, które ją spotkały po tych wypowiedziach, postawiła pytanie, dlaczego jest rugowana z przestrzeni publicznej za wyrażenie sceptycznej opinii. Nie należy też zapominać o groźbach śmierci, jakie faktycznie otrzymywała. Biorąc pod uwagę, że nie jest polityczką może słusznie zastanawiać, dlaczego jej opinia wywołuje tyle strachu i nienawiści, ale przede wszystkim dlaczego cenzura zaczyna być bardziej atrakcyjna od wolności słowa.

Kiedy wolność słowa zamienia się w truciznę

Krytykujący *cancel culture* czy *safe space* jako nową formę cenzury, traktują wolność słowa

jako coś, do czego wszyscy mamy mniej więcej podobne podejście. Myślą kategoriami idei znaczenia prawdy i praw obywatelskich. Uważają jej wprowadzenie w życie za bezwzględnie nadrzędne, czyli oprócz skrajnych



Photo by krakenimages on Unsplash

wezwań do przemocy, wszystko powinno być dozwolone. Niestety rzeczywistość odbiega od standardów akademickich dyskusji, a wolność słowa bez powiązania z odpowiedzialnością za słowo potrafi wyrządzić bardzo wiele szkód.

Populiści bardzo szybko nauczyli się, jak wykorzystywać demokratyczne wartości we własnym interesie. Przykładów aż nadto dostarczyła już historia. Adolf Hitler wprowadził nie doszedł do władzy w sposób do końca uczciwy z demokratycznego punktu widzenia, ale rządy III Rzeszy nie zebrałyby aż tak krwawego

żniwa, gdyby nie szczere poparcie dla dyskryminacyjnych praktyk, trafiających na podatny grunt ówczesnego antysemityzmu. Wiele osób w strukturach reżimu wręcz uważało, że robi coś pożytecznego mordując Żydów, Romów czy niepełnosprawnych. Podobne przekonanie towarzyszyło przymusowej sterylizacji w Szwecji, zapoczątkowanej w 1934 roku. A Polska? Przecież bardzo podobne antysemickie poglądy miał Roman Dmowski. Mówił o „usuwan-
iu» czy „pozbywaniu się” Żydów, ale ponieważ nikogo nie zamordował, jego przemyślenia są traktowane w kategorii kontrowersyjnej opinii,

puszczanej mimo uszu, przynajmniej na tyle, by miał swoje rondo i trafił na karty paszportu. Podobny mechanizm zresztą widać dzisiaj podczas wojny w Ukrainie, gdzie Rosja wykorzystuje wszelkimi sposobami wolność słowa do dezinformacji. Gdy ktoś przeprowadza sondy uliczne, pytając zwykłych Rosjan o zdanie na temat „operacji specjalnej”, opowiadają się „za” z takim samym przekonaniem, jak gdyby zapytać ich o ulubiony kolor. Propaganda? Strach? A może jednak opinia, tylko na ile własna?

Putin od lat docenia znaczenie słowa. Opłaca rzesze specjalistów, aby za pośrednictwem mediów społecznościowych wpływać na

zachodnie społeczeństwa poprzez wykorzystanie algorytmów do szerzenia dezinformacji. Narzędzie o tyle skuteczne, że technologia już funkcjonuje na poziomie będącym w stanie przechytrzyć nasz mózg i skłaniać do ciągłego przeglądania tych samych kanałów. Sekwencja przekazów przekonuje do określonej wizji świata nie tyle rzetelnością, co zamykając nas w bańce informacyjnej wszechobecnością, aż zaczynamy wierzyć w obraz świata, jaki jest w niej wykreowany. Niewątpliwym sukcesem tej metody jest ostateczne przekonanie o samodzielnym autorstwie danego osądu, choć doszło de facto do manipulacji. Osoba kontrolująca określoną niszę powiązanych kont może manipulować ich

przekazem, tak jak konta powiązane z treściami antyszczepionkowymi zaczęły powielać z dnia na dzień prokremlowską propagandę. W tym momencie powstaje zasadnicze pytanie: na ile opinie są nasze własne, a w jakim stopniu zostaliśmy zmanipulowani przez osoby trzecie do ich wyrażania?

Należy zdawać sobie również sprawę, że nie za wszystkimi działaniami dezinformacyjnymi kryje się autorytarny despota, ani nawet charyzmatyczny hochsztapler, ale ludzie, którzy chcą się szczerze podzielić czymś, co uznali za ważne. Osoby powielające antyszczepionkowe teorie zazwyczaj naprawdę w nie wierzą. Niestety często są to osoby o dużych zasięgach. Popularni artyści, np. Edyta Górniak, influencerzy czy inni ludzie znani z bycia znanym. Patrząc z idealistycznego punktu widzenia, ludzie powinni weryfikować informacje, podobnie jak

można stwierdzić, że każdy ma prawo sądzić to co chce, ale w niektórych przypadkach jest to szkodliwe, co udowodniła m.in. pandemia. Samo przekonanie o szkodliwości szczepionek nie może nikogo skrzywdzić, ale już np. posłanie nieszczepionego dziecka do przedszkola może stanowić znaczące ryzyko dla kogoś o słabszym zdrowiu. Z kolei ograniczenie dostępności usług dla niezaszczepionych w trosce o zdrowie słabszych oznacza najczęściej oskarżenia o naruszenie podstawowych praw, których rozumienie jest nierzadko mocno wybiórcze.

Demokracja z wolnością słowa mogą, jeśli się je wypaczy, stworzyć mieszkanke wybuchową i niebezpieczną. Dobrym przykładem są tzw. incele, czyli młodzi mężczyźni żyjący w celibacie nie z własnego wyboru, lecz z powodu braku zainteresowania ze strony potencjalnych partnerek. Koncentrują się wokół konkretnych

Osoba kontrolująca określoną niszę powiązanych kont może manipulować ich przekazem, tak jak konta powiązane z treściami antyszczepionkowymi zaczęły powielać z dnia na dzień prokremlowską propagandę

i wiarygodność osób je podających. W rzeczywistości jednak decyduje co innego. Poparte dyplomami autorytety nie mają siły przebicia wobec celebrytów oddziałujących na emocje. Wolność słowa zakłada refleksję poprzedzającą osąd, a tej nierzadko brakuje. Oczywiście

ludzi służących ich sprawie, takich jak Jordan Peterson, Janusz Korwin-Mikke czy Roman Warszawski. Mają swoje kanały informacyjne, za pomocą których nie tylko dzielą się opiniami, ale mogą się skonsolidować w ruch. Ostatnio przez profile na Twitterze podpisujące się pod



tymi poglądami trafiłam na tekst opublikowany na prawicowym portalu Salon 24 przez użytkownika Głos pokolenia '90. Tekst zatytułowany „Czy to koniec dla przeciętnych mężczyzn? Fatalny rynek matrymonialny na prowincji” odnosi się do realnego problemu, stanowiącego faktyczną frustrację wielu mężczyzn mieszkających na prowincji. Sugerowane rozwiązanie traktujące kobiety w sposób przedmiotowy, niczym towar do „załatwienia z Paragwaju” czy opinia o błędzie państwa w postaci „pozwolenia tak wielu kobietom na osiągnięcie tytułu magistra” godzą w prawa człowieka przy jednoczesnym aplauzie części społeczeństwa. Nad problemem pochylili się serwis Gazeta czy Newsweek,

Wolność słowa zakłada refleksję poprzedzającą osąd, a tej nierzadko brakuje

pokazując z jednej strony jego skalę, z drugiej niepokojące nastroje, które przybierają na sile. W reportażu Newsweeka dziennikarka Elżbieta Turlej przywołuje opinię mężczyzny z małej miejscowości twierdzącego, że „narobili dziewczynom bigosu w głowach”, co rozumie jako „wmówienie, że geje mogą mieć dzieci, a miejsce kobiety jest poza domem”, na co upatruje rozwiązanie w „jakiejś wojnie, żeby [kobiety] zrozumiały, że jest inaczej”. Mamy do czynienia z osądem dotyczącym znaczącej grupy osób, więc należy to przekonanie pomnożyć. Biorąc pod uwagę mechanizmy funkcjonowania

demokracji, można sobie wyobrazić skonsolidowanych mężczyzn dotkniętych tym problemem, wynoszących na piedestał opcję polityczną, która ograniczanie praw kobiet ma wpisane w program wyborczy. Tym łatwiej sobie to wyobrazić, biorąc pod uwagę niedawne godzące w podstawowe prawa człowieka wyroki TK Julii Przyłębskiej i Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Tutaj pojawia się niebezpieczna granica, gdzie upowszechniająca się opinia może przerodzić się w systemową dyskryminację, a nawet przemoc. Czy w takiej sytuacji nie można zrozumieć dyskryminowanej grupy osób, zazwyczaj naznaczonej przykrymi doświadczeniami, która być może chciałaby jakiegoś za-

bezpieczenia przed takim obrotem wypadków? Właśnie w tym miejscu łączy się wspomniany wcześniej strach z chęcią określenia pewnych nieprzekraczalnych norm i rugowania z przestrzeni publicznej ich przekraczania, nawet jeśli oznaczałoby to pewne ograniczenie w wolności słowa wyrażone m.in. w ostracyzmie znaczących sfer życia publicznego.

Cenzura to bzdura

Nie należy jednak zapominać o istocie cenzury. Ograniczanie, nawet w dobrej wierze, wolności słowa nigdy nie kończy się dobrze. Kto miałby

decydować co jest dozwolone, a co nie jest? Musiałby powstać specjalnie do tego powołany organ. Każda taka instytucja stwarzałaby pole do nadużyć ze strony licznych grup nacisku. Bez trudu można sobie wyobrazić co będzie, jeśli tak się stanie. Doświadczenia byłych państw komunistycznych i dzisiejszych praktyk Rosji czy Chin, gdzie władza zastrasza, ucisza, a nawet więzi „nieprawomyślnie” jednostki, są tego dobrą ilustracją. Polska zresztą dobrze zna ten model jeszcze z czasów PRL-u. Wszystko można wytłumaczyć dobrem publicznym. Rugowanie z przestrzeni publicznej pewnych osób czy tematów utrudnia zlokalizowanie i rozwiązanie problemów. Przykładem są Stany Zjednoczone, w których coraz mniejsze pole do podejmowania trudnych dyskusji na temat dyskryminacji rasowej sprawia, że ludzie zamykają się w obrębie swoich grup, a ta mimowolnie powstała niechęć się konserwuje, jeśli nie wzrasta. Pozornie problemu nie ma, ale w rzeczywistości jest on gdzieś ukryty. W przypadku radykalnych grup zamiatanie pod dywan może stać się tykającą bombą. Rośnie popularność seksistowskich guru i skrajnie prawicowych ugrupowań pokroju Konfederacji, która staje się bezpieczną przystanią, ukrytą safe space dla sfrustrowanych mężczyzn.

Innymi słowy, jesteśmy skazani na wolność słowa. Adwokaci *cancel culture* muszą się pogodzić z tym, że to jest warunek bezwzględnie konieczny dla stworzenia tolerancyjnego państwa. Wolność słowa to potężne narzędzie, dlatego każdy powinien być przygotowywany do jego obsługi i to jest zadanie dla edukacji, począwszy od edukacji wczesnoszkolnej, na sędziwych seniorach kończąc. Brzmi to może jak proste rozwiązanie, jednak w praktyce wcale takim nie jest. Przede wszystkim brakuje porządnego programu nauczania, w którym kładzie się nacisk na krytyczne myślenie, zagrożenia płynące z sieci, sposoby weryfikacji informacji, wiarygodność źródeł pozyskiwania informacji z jednoczesnym podkreśleniem wolności słowa jako uniwersalnego prawa, którego trzeba bronić. Niestety w ostatnich latach coraz bardziej zauważalny jest niepokojący trend obniżania standardów nauczania w szeroko rozumianym systemie kształcenia. Bez kolektywnego wysiłku na rzecz ogólnego dostępu do rzetelnej edukacji nie będzie własnych opinii, a jeśli ich zabraknie, skończy się wolność. ●



ANNELIESE MISTEL

Publicystka, orientalistka, z zamiłowania historyczka, absolwentka wydziału orientalistycznego na Uniwersytecie Warszawskim, tytuł magistra japonistyki uzyskała na Uniwersytecie Diderota w Paryżu. Od wielu lat związana z Francją, w której mieszka na stałe od 2017 roku.

PUTIN POGRZEBAŁ RUSKI MIR

JANUSZ A. MAJCHEREK

Pomysł „ruskiego mira” nie był tak absurdalny i beznadziejny, jakim uczynił go Putin, usiłując zaprowadzić przemocą i gwałtem. W tym samym czasie jego anglosaski odpowiednik i prawdopodobny pierwowzór, czyli Commonwealth, ma się całkiem dobrze i pozyskuje nowych uczestników, a anglosaska kultura podbija świat. Pokojowo.

po śmierci Elżbiety II przypomniano, że była ona nie tylko monarchinią Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, lecz także tytularną głową kilkunastu państw oraz zwierzchniczką Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, czyli Commonwealth, zrzeszającej 56 państw i społeczeństw, z których kilka dołączyło w ostatnich latach. W osobie króla Karola III zyskują nowego zwierzchnika. Commonwealth rozwinęła się jednak po dekolonizacji i uzyskaniu niepodległości przez jej późniejsze państwa członkowskie, których kilka zresztą nigdy nie zaznało brytyjskiego panowania, a zdecydowały się do Wspólnoty przystąpić. Przynależność do niej (a także wystąpienie z niej) jest dobrowolną decyzją autonomicznych podmiotów politycznych. Głównym spoiwem i wabikiem jest atrakcyjność i siła oddziaływania kultury anglosaskiej, z wiodącą rolą języka angielskiego, który stał się międzynarodowy i uniwersalny. Ale to także rozmaite wzory i kody kultury anglosaskiej, w tym amerykańskiej (choć USA formalnie do Commonwealth nie należą), z różną siłą przyswojone przez wiele społeczeństw na całym świecie. To się w politologii nazywa soft power i uważa często za ważniejsze niż siła militarna.

Kultura rosyjska ma dorobek, zasoby i potencjał słabsze od anglosaskiej, lecz niemałe. Zwłaszcza na obrzeżach Rosji, a szczególnie wśród rosyjskojęzycznej i prawosławnej ludności sąsiednich państw, ma znaczącą siłę oddziaływania i przyciągania. Z całym szacunkiem dla Tadżyków, Kazachów czy łożyszy, kultura Dostojewskiego

i Czechowa, Czajkowskiego i Prokofiewa, Malewicz i Kandinsky'ego ma atuty i walory zdolne zachwycać i przyciągać. Wspólnota Niepodległych Państw, proklamowana po rozpadzie Związku Sowieckiego, była więc projektem mającym szanse powodzenia, w oparciu o zasoby i potencjał kultury rosyjskiej.

Warunkiem odegrania roli włączającej i integrującej jest jednak dobrowolność uczestnictwa. Przymusowa rusyfikacja, a tym bardziej zbrojne narzucanie języka i kultury rosyjskiej, czynią je odpychającymi. Napadając na Ukrainę i anektując jej rosyjskojęzyczne obszary oraz zgłaszając słabo zawołowane roszczenia wobec innych sąsiednich państw i społeczeństw, Putin uczynił z kultury rosyjskiej atrybut agresorów i zbrodniarzy wojennych. Skompromitował ją i pozbawił atrakcyjności. Powtórzył w ten sposób błąd Niemców i niemieckich władców sprzed niemal stu, a nawet ponad stu lat.

Jeśli spojrzymy na etnograficzne mapy Europy sprzed I wojny światowej, zobaczymy rozsięte po niemal całym kontynencie rozległe obszary zamieszkałe przez ludność niemiecką i niemieckojęzyczną. Niemcy w Rzeszy, podnieceni i rozochoceni doktryną nacjonalizmu, uznali że Niemcy są wszędzie tam, gdzie mieszkają Niemcy. A ponieważ kanclerz Bismarck obwieścił, że najskuteczniejsze jest integrowanie „krwią i żelazem”, więc postanowili zastosować tę metodę od Alzacji do Kłajpedy, od Lotaryngii po Gdańsk, od

Sudetenlandu po Śląsk. W wyniku tego obecnie Gdańsk i Prusy Wschodnie, Śląsk i kraj sudecki, Południowy Tyrol, Alzacja i Lotaryngia, Limburgia i Memel nie należą do Niemiec, a na wielu tych obszarach nie ma już Niemców, bo zostali z nich wysiedleni po klęsce Rzeszy i w odwecie za zbrodnie w ich imieniu popełnione przez jej funkcjonariuszy. Kultura filozofów i poetów została skojarzona z ludobójstwem i utraciła wiele ze swoich niegdysiejszych wpływów. Do dzisiaj Niemcy nie odgrywają w polityce międzynarodowej i wymi-

akurat obecne węgierskie władze wciąż hołubią) czy Wielkiej Rumunii. Podobną klęskę szykują sobie propagatorzy Wielkiego Izraela.

Również ideologia Wielkiej Polski i polski nacjonalizm, spod szyldów Obozu Wielkiej Polski czy Ligi Morskiej i Kolonialnej, skończyły się tym, że Lwów, Wilno i Grodno, niegdyś w większości polskojęzyczne i stanowiące ważne ośrodki kultury polskiej, już nie należą do Polski, a ludność polskojęzyczna stanowi w nich margines. Polacy jednak przynajm-

i kulturowym pobratymcom zza granicy, obiecującym im ochronę i wsparcie. Zasadą rozsądnej polityki wobec mniejszości powinno być zapewnienie jej lepszych warunków u siebie, niż mogliby mieć u owych pobratymców. To wytyczne postępowania polskich władz wobec autochtonicznej ludności białoruskiej na Podlasiu czy niemieckojęzycznej na Śląsku. Niekoniecznie jednak obecnie respektowane.

Ale mniejszości też potrafią postępować irracjonalnie, a nawet podle. Nie chodzi jedynie o kalkulację, którą Konstanty Gebert streścił zgryźliwie: „wolę abyś ty był mniejszością u mnie, niż ja u ciebie”. Niemcy w międzywojennym Wolnym Mieście Gdańsku mieli nieskrępowane warunki swobodnego rozwoju swojej niemieckojęzycznej kultury, a przy tym mogli robić lukratywne interesy z Polską, na której handlowym obsłudze wyrosła niegdysiejsza potęga ich portowej metropolii. Ale woleli pozycję prowincjonalnego miasta Rzeszy, byle się z nią złączyć. W rezultacie wybuchłej u nich wojny utracili wszystko. Podobnie jak Niemcy sudeccy, których poparcie dla Hitlera i żądania złączenia z Rzeszą doprowadziły do układu monachijskiego, ośmielającego Führera do agresji.

Zważywszy powyższe, należy odnotować, że istnieją jednak sposoby na stworzenie szerokiej wspólnoty kulturowej, na wzór Commonwealth. W pewnym stopniu udało się to państwu iberyjskim, stanowiącym część wspólnego świata latynoskiego, spajanego nie tylko językiem (rola i wpływy literatury iberoamerykańskiej), ale i szerzej rozumianą kulturą. Lecz stało się to po uzyskaniu przez południowoamerykańskie państwa niepodległości oraz – co nie mniej ważne – demokratycznych przełomach likwidujących autokratyczne reżimy w dawnych metropoliach (Hiszpanii i Portugalii). Cyrkulacja między dawnymi koloniami i metropoliami trwa.

Rosja wybrała inną drogę i przegra, już przegrywa. Utwory Czajkowskiego kiedyś powrócą do sal koncertowych, Czechowa na deski sceniczne, a Dostojewskiego na księgarskie półki całego świata. Ale żaden „ruskij mir” nie powstanie, bo próba zaprowadzenia go przemocą i gwałtem skompromitowała ten, bynajmniej nie absurdalny pomysł. Potencjalni naśladowcy, nie tylko chińscy, powinni tę klęskę starannie rozważyć i wyciągnąć z niej wnioski. ●

Napadając na Ukrainę i anektując jej rosyjskojęzyczne obszary oraz zgłaszając słabo zawołowane roszczenia wobec innych sąsiednich państw i społeczeństw, Putin uczynił z kultury rosyjskiej atrybut agresorów i zbrodniarzy wojennych

anie kulturalnej roli, do jakiej predestynowałby ich ekonomiczny i kulturowy potencjał.

Bałkany były z dawien dawna mozaiką i mieszaniną ludności rozmaitych narodowości, religii i etnicznych tożsamości. Ale gdy Serbom zamarzyło się stworzenie państwa skupiającego całą ludność serbską i serbskojęzyczną, skończyło się katastrofą, izolacją Serbii, okrojeniem jej granic i ucieczką lub wygnaniem ludności serbskiej z obszarów innych państw. Tak skończyła się wizja Wielkiej Serbii, podobnie jak niegdyś Wielkich Węgier (choć tę

niej dostali w zamian Dolny Śląsk z Wrocławiem, Warmię i Mazury z Olsztynem, Pomorze zachodnie ze Szczecinem...

Kwestia nie jest wszakże jednoznaczna, a racje jednostronne. Republiki bałtyckie po odzyskaniu niepodległości odmawiały obywatelstwa mieszkańcom rosyjskojęzycznym, a władze Ukrainy administracyjnie rugowały język rosyjski i propagowały kult nacjonalistycznych bojowników. To najprostszy sposób na osłabienie lojalności znaczących grup ludności i pchanie ich ku językowym



JANUSZ A. MAJCHEREK

Profesor filozofii, wykładowca Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej

METROPOLIA KRAKOWSKA NOWYM IMPULSEM DO ROZWOJU REGIONALNEGO

DOMINIK JAŚKOWIEC

Problemy mieszkańców dużych miast i problemy mieszkańców sąsiadujących miejscowości generowane są przez wzajemne oddziaływania. Przyjęty w Polsce model ustroju samorządu terytorialnego nie kreuje dostatecznie skutecznych narzędzi w ich rozwiązywaniu. Podział administracyjny kraju, w tym instytucjonalne oddzielenie miast na prawach powiatu od powiatów ziemskich nie sprzyja integracji i wspólnemu działaniu, dzieje się tak zwłaszcza na linii: duże miasta – sąsiadujące miejscowości.

Problemy mieszkańców dużych miast i problemy mieszkańców sąsiadujących miejscowości generowane są przez wzajemne oddziaływania. Przyjęty w Polsce model ustroju samorządu terytorialnego nie kreuje dostatecznie skutecznych narzędzi w ich rozwiązywaniu. Podział administracyjny kraju, w tym instytucjonalne oddzielenie miast na prawach powiatu od powiatów ziemskich nie sprzyja integracji i wspólnemu działaniu, dzieje się tak zwłaszcza na linii: duże miasta – sąsiadujące miejscowości.

Samorzady miejskie różnorako próbują sobie radzić z tym problemem, część z nich inicjuje zmiany granic, poszerzając swój obszar, inne tworzą lokalne stowarzyszenia, korporacje samorządowe, nawiązując współpracę z okolicznymi gminami. Wszystkie te działania okazują się jednak niewystarczające. Korporacje samorządowe nie mają dostatecznych narzędzi do zarządzania wspólną przestrzenią, a poszerzające się miasta muszą w pierwszej kolejności zderzyć się z problemami niegdysiejszych przedmieść, ponieść koszty ich integracji w jeden organizm miejski.

Jest to problem wymierny, który w sposób realny dotyka samych mieszkańców. Mieszkańcy miejscowości sąsiadujących z dużym miastem nie rozumieją, dlaczego korzystając ze wspólnego systemu transportu zbiorowego, muszą płacić więcej za przejazd od mieszkańców

dużego miasta, z drugiej strony mieszkańcy dużego miasta często uskarżają się na niekorzyści wynikające z faktu pełnienia przez ich miejscowość roli lokalnego centrum komunikacyjnego, usługowego.

Problemy generują się wzajemnie i wzajemnie przenikają, ich rozwiązaniem jest tworzenie związków metropolitalnych, co daje możliwość generowania nowych narzędzi prawnych, skutecznych w zarządzaniu wspólną przestrzenią publiczną. Co ważne, związki metropolitalne nie powinny być tworzone jako konkurencja dla istniejących już jednostek samorządu terytorialnego, ale jako ich funkcjonalne uzupełnienie, tak jest w przypadku projektowanego Krakowskiego Obszaru Metropolitalnego.

Układ urbanistyczny krakowskiej aglomeracji już dawno rozrósł się poza administracyjne granice Krakowa, tworząc zespół jednostek osadniczych liczący około 1,3 mln mieszkańców. Aglomeracja krakowska ma charakter wybitnie monocentryczny, jej główną cechą jest występowanie jednego obszaru centralnego o dominującej funkcji społeczno-gospodarczej i dużej koncentracji ludności oraz kilku pierścieni zewnętrznych, podporządkowanych centralnemu miastu, w skład których wchodzi najbliżej położone Krakowa satelickie miejscowości (Wieliczka, Skawina, Niepołomice, Zabierzów, Zielonki, Węgrzce)

oraz te bardziej peryferyjne, powiązane z miastem centralnym funkcjonalnie, ale już nie urbanistycznie (Bochnia, Krzeszowice, Świątniki Górne, Słomniki, Myślenice).

Co bardzo charakterystyczne, obszar zwartej zabudowy krakowskiej aglomeracji nie pokrywa się w pełni z granicą administracyjną samego miasta. Przyłączone do Krakowa w latach 80. ubiegłego wieku wsie (zwłaszcza

podejmowane na przestrzeni ostatnich lat w stosunku do mniejszych miast wojewódzkich: Zielonej Góry, Opola czy też Rzeszowa również były dokonywane w sprzeczności z procesem rozwoju ich układów osadniczych. Tworzenie związków metropolitalnych stanowi zatem alternatywę wobec odgórnego, administracyjnego powiększania terytoriów miast, jest też bardziej akceptowalne społecznie, gdyż nie skutkuje likwidacją już istnieją-

Związki metropolitalne nie powinny być tworzone jako konkurencja dla istniejących już jednostek samorządu terytorialnego, ale jako ich funkcjonalne uzupełnienie, tak jest w przypadku projektowanego Krakowskiego Obszaru Metropolitalnego

za te we wschodnim rejonie Nowej Huty) zachowały do dziś swoją odrębność, swój własny układ przestrzenny. Proces suburbanizacji tak charakterystyczny dla polskich miast w krakowskiej aglomeracji najsilniej przebiega wzdłuż głównych arterii komunikacyjnych na osi północ-południe, w zdecydowanie mniejszym stopniu zachodzi kierunku wschodnim.

Szczegółowa analiza tego zjawiska pokazuje nieadekwatność odgórnich, administracyjnych procesów powiększania obszaru miasta, które nijak miały się do rozwoju jego układu urbanistycznego. Podobne działania

tych wspólnot samorządowych, ale nadaje im nowe ramy współpracy.

Krakowski projekt ustawy to kolejna tego typu oddolna inicjatywa, podobne działania podjęła również Łódź oraz trójmiasto: Gdańsk, Gdynia i Sopot.

Projekt ustawy, w którego przygotowanie zaangażowani byli obok mnie parlamentarzyści: Bogdan Klich, Aleksander Miszański, Marek Sowa, lokalni samorządowcy z powiatu krakowskiego i wielickiego: Grzegorz Małodobry i Anna Polańska, był szczegółowo

omówiony na posiedzeniu Parlamentarnego Zespołu Metropolitalnego, które odbyło się w Krakowie pod koniec maja 2021 r., wcześniej przeprowadzone zostały prekonsultacje z zainteresowanymi samorządami.

Projekt krakowskiej ustawy metropolitalnej trafił pod obrady Senatu, jego uchwalenie umożliwi powołanie metropolii krakowskiej, w skład której wejdzie miasto Kraków oraz gminy z powiatów krakowskiego i wielickiego. Oczywiście nie będzie to przymus – gminy będą mogły dobrowolnie zgłosić akces do metropolii. Nowy podmiot samorządowy będzie miał do dyspozycji dodatkowe dochody z podatku PIT, czyli około 300 mln złotych rocznie.

Ustawa nie trafia w próżnię. Kraków i sąsiadujące z nim gminy dobrze współpracują w ramach istniejącego stowarzyszenia metropolitalnego. Pojawiają się obawy, że nowa ustawa utrudni te działania, ja jednak jestem przekonany, że będzie wręcz odwrotnie, a nowe rozwiązania będą uzupełnieniem tego, co już się dzieje i dobrze funkcjonuje. Dodatkowe środki finansowe będą mogły być wykorzystane na poprawę systemu transportu zbiorowego, walkę ze smogiem, rozwój lokalnego układu transportowego: dróg, linii kolejowych, tramwajowych, tras rowerowych, działania integracyjne i promocyjne. ●



DR DOMINIK JAŚKOWIEC

Politolog, adiunkt w Instytucie Prawa, Ekonomii i Administracji Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, radny Krakowa, współtwórca krakowskiego Budżetu Obywatelskiego, reformy Dzielnic, nowego Statutu Krakowa, inicjator projektowania partycypacyjnego. Działa na rzecz zwiększenia uczestnictwa obywateli w zarządzaniu miastem. Autor publikacji i artykułów naukowych poświęconych partycypacji społecznej i samorządowi terytorialnemu. Pomysłodawca innowacyjnych lokalnych programów działania krakowskiego samorządu m.in.: Programu współpracy miasta Krakowa z Rodzinnymi Ogrodami Działkowymi, Miejskiego programu zalesiania Krakowa „Lasy dla Krakowa”. Autor ponad stu przyjętych przez Radę Miasta Krakowa aktów prawa miejscowego.

CHOROWAĆ WOLNO LUDZIOM ZDROWYM

MACIEJ CHMIELEWSKI

Organizacja leczenia, jak i całego systemu profilaktyki to poważna rozmowa o organizacji i pieniądzach, bardzo dużych pieniądzach. Konstytucyjny zapis nakładający na państwo obowiązek ochrony zdrowia obywateli prowadzi do istnienia systemu, którego podstawą są publiczne lecznice i finansowanie świadczeń, a placówki prywatne stanowią jedynie element uzupełniający.

Polska konstytucja jest konstytucją złą, wręcz wyjątkowo złą. Mamy wybranego bezpośrednio prezydenta, który niewiele może. Mamy rząd odpowiedzialny przed parlamentem tak, że sam tym parlamentem kieruje. Mamy referenda, gdzie 231 partyjnych funkcjonariuszy może jednym głosowaniem wyrzucić do kosza kilka milionów podpisów obywateli. Ogromnym kosztem utrzymujemy też Senat, którego każdą poprawkę Sejm może odrzucić. Na co komu taka izba wyższa? Bogaty to kraj, który stać na takie marnotrawstwo pieniędzy. To wszystko jednak mały problem wobec reszty. Ta sama konstytucja pozwala na bezkarne łamanie prawa przez rząd PiS, a wcześniej PO na nacjonalizację oszczędności emerytalnych. Ta sama konstytucja w swym artykule 68. gwarantuje, iż Polacy nigdy nie będą mieli służby zdrowia na wysokim poziomie.

W historii świata nie zdarzyło się, by organy państwa zapewniły jakąkolwiek usługę na poziomie wysokiej jakości w przyzwoitej cenie. Najczęściej to najniższa jakość za najwyższą cenę. Nie, nie jest to polska specyfika, choć nasz kraj w tej niechlubnej praktyce zaliczyć można do najwybitniejszych. Polska służba zdrowia nie jest tu żadnym wyjątkiem. Wspomniany art. 68 naszej konstytucji gwarantuje każdemu obywatelowi, by niezależnie od sytuacji materialnej władze zapewniły mu równy dostęp do świadczeń opieki zdrowotnej. W sumie polskie państwo z tego zobowiązania się nawet wywiązuje – każdy obywatel ma równie beznadziejny dostęp do państwowej opieki zdrowotnej.

Skąd konstytucja na początku artykułu o służbie zdrowia? Ramy jej funkcjonowania i określenia jako jedno z obowiązków państwa wobec obywateli zapisaliśmy jako społeczeństwo w ustawie zasadniczej z dwójakimi tego konsekwencjami. Leczenie, zwłaszcza poważnych chorób, naładowane jest oczywistym ładunkiem emocjonalnym. Niestety emocje w poważnej rozmowie tylko jej szkodzą. Organizacja leczenia, jak i całego systemu profilaktyki to poważna rozmowa o organizacji i pieniądzach, bardzo dużych pieniądzach. Konstytucyjny zapis nakładający na państwo obowiązek ochrony zdrowia obywateli prowadzi do istnienia systemu, którego podstawą są publiczne lecznice i finansowanie świadczeń, a placówki prywatne stanowią jedynie element uzupełniający. Ten państwowy system zarówno wykonania, jak i finansowania prowadzi do powtórzenia wszystkich patologii gospodarki centralnie planowanej – to instytucja centralna decyduje o tym, co będzie świadczone i jakie będą tego ceny. Równocześnie wszelkie próby zmiany stanu rzeczy spotykają się z politycznym populizmem i dla każdego kolejnego rządu stanowią gorący kartofel, przerzucany byle się nie poparzyć.

Państwo to oszust. Zawodowy

Polska służba zdrowia tkwi w głęboko postkomunistycznym systemie organizacyjnym. Narodowy Fundusz Zdrowia mieniący się ubezpieczycielem, w gruncie rzeczy stanowi switch przepływowy pieniędzy z podatków do szpitali. Na koniec 2020 roku w Polsce funkcjonowało 898 szpitali ogólnych,

w zdecydowanej większości należących do samorządu – w konsekwencji poddane są tym samym politycznym ograniczeniom na poziomie lokalnym, co system na poziomie centralnym. Większość z tych szpitali to także lokalne szpitale w obszarach oddziaływania na niewielką populację. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest niski poziom profesjonalizacji tych placówek oraz bardzo duży koszt utrzymania. Urządzenia diagnostyczne w medycynie zazwyczaj kosztują bardzo duże pieniądze, a z racji postępu technologicznego wymagają wymiany co kilka lat niezależnie od faktycznego zużycia. By ich zakup miał rozsądne uzasadnienie ekonomiczne,

muszą być wykorzystywane odpowiednio często – w szpitalu w małej miejscowości siłą rzeczy nie będzie wystarczającej liczby pacjentów wymagającej badania np. tomografem, tak by zakup i utrzymanie tego tomografu miał sens. W rezultacie takie szpitale albo tego sprzętu nie posiadają, albo użytkują go niewspółmiernie mało do możliwości, przez co bardzo podnosi się koszt jednostkowy badania. W skali makro – zamiast posiadać jedno urządzenie posiadamy ich kilka, marnując pieniądze. Opisany stan rzeczy jest jednym ze spadków PRL, a dokładniej Układu Warszawskiego. Wysokie nasycenie kraju szpitalami było jednym z przygotowań kraju

na wypadek wojny i leczenia żołnierzy radzieckich. W planach wojennych to obszar Polski był przewidziany jako najbardziej prawdopodobne miejsce starcia wojsk NATO i Układu Warszawskiego. Niestety 30 lat demokracji nie wystarczyło, by politycy wykazali się rozsądkiem ponad doraźnym populizmem politycznym. Wszelkie próby zamykania szpitali wykorzystywane są przez polityków do gry na ludzkich emocjach i straszenia ich brakiem ochrony zdrowia. W efekcie zamiast jednego profesjonalnego szpitala na 3-4 powiaty mamy po szpitalu w każdym z nich. Tyle, że niewiele w nim można wyleczyć.

Zapisana w konstytucji ochrona zdrowia przez państwo jest równocześnie jednym z największych oszustw naszego państwa wobec obywateli.

a szpital zmuszony do przyjęcia takiego pacjenta udzieli mu jako takiej pomocy, o tyle leczenie przewlekłe jest co najwyżej dla ludzi zdrowych. Pacjenta czeka wizyta u lekarza rodzinnego, ten skieruje do specjalisty, ten do innego specjalisty, może po drodze jakieś badania. Mając nieco szczęścia może za rok pacjent dostanie diagnozę, mając pecha może nie zdążyć. Szansę na szybką i fachową pomoc mają wyłącznie pacjenci dysponujący odpowiednimi kontaktami lub pieniędzmi. Tylko dlatego po zapłaceniu ubezpieczenia mam płacić ponownie za to, za co już zapłaciłem? Państwo polskie ponownie oszukało obywateli. W tym miejscu na pewno można podać dużo powodów, dlaczego kolejki są tak długie. Zbyt mało pieniędzy, mamy za mało lekarzy, a może to pacjenci nadużywają świadczeń, zajmując miejsca w kolejce. Każdy

Narodowy Fundusz Zdrowia mieniący się ubezpieczycielem, w gruncie rzeczy stanowi switch przepływowy pieniędzy z podatków do szpitali

Państwo, podejmując się dowolnego zobowiązania i pobierając za to opłatę w podatkach, podejmuje się jednocześnie obowiązku realizacji tego zobowiązania. Płacąc nazwany składką podatek zdrowotny mam prawo oczekiwać, iż w razie potrzeby otrzymam pomoc medyczną w ramach publicznej ochrony zdrowia. Jak to działa w praktyce, wszyscy wiemy – nie działa. O ile w nagłych przypadkach karetka najprawdopodobniej dojedzie,

słyszał historię o emerytach przychodzących tylko po to, by zmierzyć ciśnienie. Skoro skala tych nadużyć jest tak duża, to czemu system na nią pozwala? Wiele lat temu banki mierzyły się z problemem długich kolejek w oddziałach – starsi ludzie przychodzący codziennie po wypłatę niewielkich kwot z konta. Rozwiązanie? Limit darmowych wypłat i niewielka opłata za każdą kolejną. Kolejki zniknęły. Pewnie wiele można też podać argumentów



o braku lekarzy – patrząc na inne państwa europejskie, argument jest zasadny. Przy średniej unijnej na poziomie ok 400 lekarzy na 100 tysięcy mieszkańców Polska dysponuje jedynie 238. Z drugiej strony znacznie poniżej średniej wypadają też Francja czy Luksemburg (ok. 300), a system funkcjonuje tam dużo lepiej. Lepiej – nie dobrze. Tyle, że za ilość miejsc dla studentów na uczelniach medycznych odpowiada... państwo. Chętnych póki co zawsze było więcej niż miejsc.

Z naturalnych przyczyn skala korzystania z opieki zdrowotnej rośnie wraz z wiekiem, a właściwa

tego, jakie procedury medyczne są finansowane, o tyle w przypadku chorób rzadkich jest to uznaniowa wola NFZ. Funduszu finansowanego z przymusowej składki-podatku, wobec którego nie mam żadnej alternatywy czy wyboru. Określenie koszyka świadczeń gwarantowanych jasno wskazałoby obowiązki państwa i prawa ubezpieczonych, a także stworzyło komercyjny rynek doubezpieczenia, być może jako wstęp do ubezpieczeń w przyszłości. Nie da się leczyć wszystkiego za darmo, tę prawdę niby wszyscy znają, a jednak udają, jakby było inaczej. Dlaczego przez NFZ do specjalisty czeka się miesiącami, a prywatnie można iść od

przekraczające 8%, nie mówiąc już o poziomach bezwzględnych tych kwot. Różnica w kosztach nie jest proporcjonalna, ponieważ o ile wynagrodzenia personelu czy inne koszty utrzymania są stosownie wyższe, to jednak sprzęt czy leki są te same i kosztują podobnie. To jednak nie jest specyfika krajów zachodnich, o innej historii. Bardzo bliskie nam Czechy wydają na publiczną służbę zdrowia ponad 9%. Można? Można, ale można też inaczej. Przedstawiana wielokrotnie za wzór Szwajcaria

nie nadużywają świadczeń w stopniu, w jakim to ma miejsce w Polsce. Konieczność odpłatności za usługę motywuje także do dbania o jej efekty – nietrudno zaobserwować osoby bezdomne zaniebujące rany pooperacyjne, czasem do skrajnego stopnia. Udzielono im pomocy medycznej całkowicie nieodpłatnej, niejako kosztem innych osób, które w tym czasie nie otrzymały pomocy. Skutek? Zaniedbane leczenie pooperacyjne, w praktyce bezskuteczne, nic nie dało. Za całkowicie chybio-

Określenie koszyka świadczeń gwarantowanych jasno wskazałoby obowiązki państwa i prawa ubezpieczonych, a także stworzyło komercyjny rynek doubezpieczenia, być może jako wstęp do ubezpieczeń w przyszłości

Płacąc nazwany składką podatek zdrowotny mam prawo oczekiwać, iż w razie potrzeby otrzymam pomoc medyczną w ramach publicznej ochrony zdrowia

profilaktyka w młodszych latach opóźnia wystąpienie chorób w wieku późniejszym. Równocześnie brak odpowiedniego leczenia u ludzi w wieku produkcyjnym obniża ich produktywność i tym samym zapewnia mniejsze wpływy do systemu, niż mogły by one być, gdyby ci ludzie szybciej wrócili do pracy. System sam sobie szkodzi licząc, iż ludzie pracujący, nie mający czasu na leczenie, skorzystają z leczenia prywatnie. Państwo nawet nie ukrywa tego, jak bardzo nieuczciwe jest wobec swych obywateli. Co więcej, państwo nie umie też od lat jasno określić tego co będzie, a co nie będzie finansowane z publicznych pieniędzy. O ile w przypadku pospolitych chorób istnieje wykaz

ręki? Na rynku prywatnym jeśli są dłuższe kolejki, to tylko do wyjątkowo cenionych lekarzy. Otóż stawki płacone przez NFZ są znacznie niższe od tych, jakie płacimy prywatnie w gabinecie, trudno się dziwić lekarzowi, że chce zarabiać. Wielu z nich pracuje w szpitalu tylko dla rozwoju, względnie dla wspierania własnej praktyki prywatnej. Nie jeden z nas spotkał się z sytuacją, gdy do tego samego lekarza można iść prywatnie bez kolejki, a zabieg będzie w szpitalu, finansowany przez NFZ. Często znacznie szybciej niż kanałem oficjalnym. W Polsce przez lata z budżetu państwa wydawaliśmy na ochronę zdrowia mniej niż 5% PKB, obecnie zbliżamy się do 7%. W krajach zachodniej UE to poziomy

wyduje na ten cel nieco ponad 2%. Przyczyna jest trywialna – większość usług podstawowej opieki zdrowotnej jest przynajmniej częściowo odpłatna. W bogatej Szwajcarii także mieszkają ludzie ubodzy, system skonstruowano tak, by państwo odpowiadało za kosztowne, poważne zabiegi medyczne. Jednakże podstawowa i zarazem niedroga opieka zdrowotna jest finansowana z kieszeni pacjenta, lub jego prywatnego i dobrowolnego ubezpieczenia. Te usługi kosztują ułamek poważnej operacji, natomiast ich skala powoduje określony, wysoki koszt systemu. Co więcej, odpłatność z własnych pieniędzy lub ubezpieczenia o całkowicie wolnorynkowych warunkach powoduje, iż ludzie

ny koncept należy uznać, iż ludzi nie stać na takie usługi. Leczenie stomatologiczne jest w Polsce generalnie prywatne i kosztowne – mimo wszystko ludzie te zęby leczą. Co więcej, argumentacja o powszechnej biedzie jest wyjątkową demagogią wobec wzrostu wynagrodzeń i emerytur w minionej dekadzie. Polska nie jest już biednym krajem, gdzie nikogo na nic nie stać – skończmy raz na zawsze z tą nieprawdziwą retoryką. Oczywiście są w Polsce ludzie biedni, ale tacy mieszkają także w Szwajcarii, Niemczech, Skandynawii i każdym innym kraju świata. Od wsparcia takich osób jest opieka społeczna, nie podstawowy system kierowany do ogółu społeczeństwa.

Potwór rośnie

Odpowiedzią na polskie problemy miały być zwiększone nakłady – Polski Ład. PiS jest partią wykorzystującą najniższe instynkty do swoich doraźnych celów politycznych. Pod pretekstem wzrostu nakładów na służbę zdrowia podniósł Polakom podatki, reklamując to jako wzrost kwoty wolnej od podatku. Oczywiście słowem się nie zająknął o zniesieniu odliczenia od podatku składki zdrowotnej – w praktyce podnosząc podatki. Składka zdrowotna to nic innego jak podatek celowy. Bez kwoty wolnej, bez limitu poboru. Zarabiający duże pieniądze wysokiej klasy specjalista musi płacić wielokrotność tego, co zarabiająca płacę minimalną osoba bez wykształcenia. Ma przy tym te same prawa do tak samo beznadziejnego świadczenia.

System dąży do ochrony samego siebie i dalszego pożerania praw obywatelskich

W praktyce płaci za coś, z czego i tak nie skorzysta – pójdzie się leczyć prywatnie. Przy olbrzymiej kreatywności do tworzenia różnych okropności ludzkość nie wymyśliła czegoś podlejszego od socjalizmu. Zarówno na poziomie chłodnej kalkulacji, jak i emocji.

Wśród państw zachodnich najbardziej sprywatyzowanym jest system amerykański. Długo można się spierać czy najgorszym prezydentem w dziejach Stanów Zjednoczonych był Franklin Delano Roosevelt czy Barack Obama. Obu łączy wywodzenie się z Partii Demokratycznej. Pierwszy

zniszczył amerykański sen i wolność gospodarczą, politycznym dziełem życia drugiego było Obamacare – nieodwracalne zniszczenie amerykańskiej ochrony zdrowia. Wobec amerykańskiego systemu trudno znaleźć inne niż emocjonalne argumenty przeciw. Nie masz ubezpieczenia to nie dostaniesz pomocy. Czy jeśli nie masz pieniędzy, to dostaniesz jedzenie w sklepie? Czy jeśli rozbijesz samochód i nie masz auto casco, to zapłaci ktokolwiek poza samym tobą? Tak, mówimy o zdrowiu i życiu, ale to koniec końców usługa jak każda inna. W tej rozmowie nie ma miejsca na emocje. Przed Obamacare około 10% Amerykanów nie miało żadnego dostępu do lekarza – po prostu do niego nie chodzili, czasem całe życie. Co się zmieniło? Otóż pozostałe 90% ma dziś gorszą opie-

kę lub płaci za nią więcej niż przed Obamacare. Czy to jest dobroludziowa odpowiedź na emocjonalne rozterki dotyczące pomocy medycznej? Odbieranie ludziom ich własności by dać tym, którzy nie potrafią sobie na to zarobić nie jest żadną sprawiedliwością społeczną, jest zwykłą kradzieżą i oszustwem społecznym.

Co więcej, państwo organizując i finansując służbę zdrowia nie ogranicza się do oferowania podłej jakości w nedorzecznie wysokiej cenie. Państwo rości sobie prawo do kolejnych ograniczeń swobód i wolności obywatelskich w imię ochrony tego



systemu. Pod pretekstem bezpieczeństwa nakazuje się jazdę w pasach, kaskach, kamizelkach ochronnych, opodatkowuje napoje słodzone czy wprowadza inne limity substancji w żywnościach. Wiele z tego, może nawet i większość, obiektywnie jest dla nas dobre. Tylko jakim prawem państwo w jakikolwiek sposób zmusza nas do troski o samego siebie? Dlaczego żyjący z naszych podatków urzędnik w ogóle śmie się zainteresować tym, jak dbamy o własne zdrowie? W końcu jeśli komukolwiek szkodzimy to samemu sobie, a tym państwo nie ma prawa się nawet interesować. System dąży do ochrony samego siebie i dalszego pożerania

praw obywatelskich. Niedawno przeżyliśmy pandemię Covid-19. Choroby wirusowej o wysokiej zakaźności, lecz śmiertelności na poziomie ok. 2%. Wprowadzone wtedy w niemal całej Europie restrykcje wypełniają praktycznie wszystkie kryteria zbrodni przeciwko ludzkości opisane prawem międzynarodowym. Paradoxem jest, że jedynym krajem, który poszanował wtedy prawa człowieka była Białoruś. Zakazy przekraczania granic, korzystania z restauracji czy nawet wychodzenia z domu kontrolowane inwigilacją elektroniczną wprowadził nie Aleksandr Łukaszenka lecz Mateusz Morawiecki, Emmanuel Macron, Angela Merkel

i reszta przywódców krajów unijnych. Populacja białoruska ma się dziś nie gorzej od naszej. Dziś, gdy nie ulega żadnej wątpliwości, że reakcja na covid była co najmniej przesadzona, nie wyciągnięto żadnych konsekwencji wobec autorów tego przestępstwa. Za to konsekwencje ponosimy cały czas – od zadłużenia, przez inflację i nadchodzący kryzys. Porównując wskaźniki demograficzne z raportowaną ilością zgonów covidowych widzimy, jak wiele ofiar pociągnęły za sobą restrykcje. Ofiar nie

człowieka bez kręgosłupa moralnego? Zostawmy Białoruś, Stany Zjednoczone, zwłaszcza w stanach republikańskich, pokazały, iż możliwy jest inny scenariusz. Choć w pierwszej fali epidemii mieliśmy do czynienia z podobnymi restrykcjami jak w Europie, to w kolejnych nawrotach choroby te ograniczenia były nieporównywalnie mniejsze i nie prowadziły do naruszeń podstawowych praw człowieka. Amerykańska, prywatna służba zdrowia zdała ten egzamin nieporównywalnie lepiej od swojej euro-

Koniecznym jest także zapewnienie spójnego systemu ratownictwa i trudno uwierzyć, by na dużym obszarze mógł to zorganizować ktokolwiek poza państwem

Covidu, lecz tego, iż chorzy na inne, uleczalne choroby nie otrzymali pomocy na czas. Nie otrzymali, ponieważ pod dyktando mieniących się lekarzami członków rady medycznej przy premierze cała służba zdrowia została przestawiona na Covid. *Primum non nocere* – Po pierwsze nie szkodzić – te słowa od czasów starożytnych wypowiada każdy lekarz, składając przysięgę Hipokratesa. Gdy czyjaś matka, ojciec czy córka pozostawieni bez opieki umierali na choroby serca lub nowotwory, twarz restrykcji – profesor Krzysztof Simon – występował w reklamach maseczek. Honorarium maseczkowe okazało się ważniejsze niż życie 38 milionów Polaków.

Czy tak się działo na całym świecie? Może przesadzona jest ocena procesu przez pryzmat jednego

pejskiej – państwowej odpowiedniczki. My straciliśmy 2 lata życia, pieniądze i szansę na wyłuszczenie społeczeństwu, że jedyną szansą na dobrą jakość służby zdrowia jest jej prywatyzacja.

Co to jest głupota? Rób wciąż to samo i oczekuj innego efektu

Mitem i kłamstwem politycznym jest, że w Europie funkcjonuje darmowa służba zdrowia. Nie istnieje usługa, która byłaby darmowa. Za wszystko płacimy – bezpośrednio za usługę, w abonamencie, ubezpieczeniu lub w podatkach. Nie jest oczywiście tak, że państwo nie ma swojej roli do spełnienia. W dużych ośrodkach leczenie to dochodowy biznes, przy mniejszym zagęszczeniu szpital może mieć problem z rentownością. Koniecznym jest

także zapewnienie spójnego systemu ratownictwa i trudno uwierzyć, by na dużym obszarze mógł to zorganizować ktokolwiek poza państwem. Nawet funkcjonujące jako stowarzyszenia GOPR i TOPR istnieją dzięki dotacjom państwowym i filantropii, co więcej, ich działanie jest usankcjonowane jako element systemu ratownictwa. Tak samo państwo mogłoby interweniować, zapewniając istnienie leczenia w miejscach, gdzie nie powstałyby one komercyjnie oraz regulować ubezpieczenia medyczne. Regulować tak, by zapewnić ich dostępność, lecz pozostawić komercyjną i wolnorynkową tego realizację. Nie jest też prawdą, iż człowiek bez ubezpieczenia nie otrzyma pomocy w przypadku konieczności ratowania życia. Już dzisiaj, przynajmniej teoretycznie, osoby nieubezpieczone zobowiązane są do zwrotu kosztów leczenia. Najpierw się udziela pomocy, a potem wystawia rachunek – nie wszyscy go uregulują.

Podawany w debacie argument o braku leczenia dla ludzi biednych czy wręcz w ogóle leczeniu tylko

dla bogatych jest cyniczną demagogią. Dlaczego? Dlatego, że w Europie na leczenie także mogą liczyć tylko ludzie zamożni. Świadczenia oferowane przez państwową służbę zdrowia cechują się niską jakością oraz ograniczoną dostępnością. System nie gwarantuje uzyskania pomocy mimo pobierania wysokich i niesprawiedliwych opłat.

Mimo tego naiwnie wierzymy, iż państwo zagwarantuje nam pomoc, a prywatni lekarze nie wolno ufać. Skąd ta wiara w cud? Zaklinanie rzeczywistości? Pogódźmy się z faktami – służba zdrowia nie będzie dobrze funkcjonować, dopóki nie zostanie sprywatyzowana. To nie jest kwestia ideologii, bezduszności czy złej woli. Państwo jest niezdolne do zapewnienia czegokolwiek o dobrej jakości w akceptowalnej cenie. Służba zdrowia albo będzie prywatna albo będzie beznadziejna – innej alternatywy po prostu nie ma. ●



MACIEJ CHMIELEWSKI

Manager specjalizujący się w handlu detalicznym i transformacji biznesu. W dotychczasowej karierze kierował inwestycjami takimi jak uruchomienie nowego centrum logistycznego w Bukareszcie czy budowa dystrybucji e-commerce w kilku miastach w Polsce. Absolwent Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego, liberał, wolnorynkowiec, a nade wszystko wolnościowiec uznający za najważniejszy obowiązek państwa ochronę obywatela przed samym państwem.

O ZMIERZCHU PORA NA JAZZ INTELEKTUALNY

PIOTR GÓRSKI

Początki jazzu sięgają końca XIX wieku. To czas, kiedy Ameryka zaczynała prawdziwie liczyć się na świecie. Z kraju głównie rolniczego stała się czołowym uprzemysłowionym państwem, a centrum światowych finansów przenosiło się z Londynu do Nowego Jorku.

Słodko-gorzki smak Ameryki

Choć nadal wielu Europejczyków patrzyło niepoważnie czy wręcz z niechęcią na Amerykanów jako na młodszych, nie tak rozwiniętych jeszcze braci, coraz bardziej stawało się jasne, że to nie Europa jest światem przyszłości, lecz właśnie Stany Zjednoczone. Spełniała się więc przepowiednia Alexa de Tocqueville'a sprzed pół wieku, choć w momencie jej powstania odnoszono się do niej z dużym dystansem. W końcu za Starym Kontynentem stała wielowiekowa, bogata tradycja. Nowy Świat nie mógł dorastać mu do pięt. Europa była dla Amerykanów miejscem nauki i inicjacji, obcowania z wielką kulturą światową, do którego odbywały się pielgrzymki. Ameryka nie miała nic wzniosłego do zaoferowania. Wyższość wciąż przebijiała się w arystokratycznych warstwach społecznych w Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech czy Włoszech. Stany Zjednoczone były ziemią obiecującą osobom chcącym ułożyć sobie nowe życie, na zupełnie innych zasadach niż dotychczas.

Życie od nowa pragnęła rozpocząć m.in. grupa polskich artystów, a wśród nich Helena Modrzejewska i zakochany w aktorce Henryk Sienkiewicz. W Kalifornii chcieli założyć coś na kształt falansteru, utopijną wspólnotę bliską naturze. Ten pomysł zakończył się spektakularną klapą. Modrzejewska jednak dzięki tej podróży stała się wielką gwiazdą

amerykańskiego, a później również brytyjskiego teatru. Natomiast dwuletni pobyt w Ameryce w latach 1876-78 był dla Sienkiewicza szkołą pisania – powstały reportaże publikowane w prasie krajowej – i wyobraźni.

Obserwował amerykańskie społeczeństwo. O Nowym Jorku pisał, że jest owładnięty kultem pieniądza. Na wszystkich ulicach widział tylko biznes i handel, kupców i bankierów, ludzi pozbawionych ogłady i delikatności obyczajów. Czynił również uwagi na temat tamtejszej demokracji. Zachwycał się prasą informacyjną, narzekał jednak na rubryki literackie. Kręcił nosem na system sprawiedliwości. Krytykował ciężkie przechodzenie władzy z jednej partii do drugiej, a wraz z tym naprzemienne porządki w administracji. Uważał społeczeństwo amerykańskie za mało skłonne do filozofowania, myślenia i poczucia smaku, za to skupione na działaniu, sprawach materialnych i pragmatyczne.

Ale to właśnie filozofia pragmatyzmu pozwoliła wejść Ameryce na europejskie salony intelektualne. Myśliciele tacy jak Charles S. Peirce czy William James, tworzący zręby tego nurtu pod koniec XIX w., wpłynęli na europejskich filozofów i rozwój nauki. Ameryka w końcu mogła pochwalić się osiągnięciami na tych polach. Również pojawili się cenieni pisarze – Henry James, brat filozofa, Mark Twain, Ralph Waldo Emerson czy poeta Walt Whitman.

Ameryka nie była wyłącznie krainą mlekiem i miodem płynącą. Miała też inne oblicze. Choć wielu podkreślało demokratyczny charakter tamtejszego społeczeństwa, a konstytucja w preambule wychwalała znaczenie błogostawionej wolności, w wielu miejscach tego rozległego kraju nawet nie wszyscy obywatele posiadali pełnię praw obywatelskich. To przecież skończyło się dopiero w latach 60. XX w. Do tego na Południu wciąż obowiązywała segregacja rasowa. W 1896 r. Sąd Najwyższy ogłosił niestawną doktrynę *Separate but Equal* (Oddzieleni, ale równi). Pojawiła się ona w uzasadnieniu wyroku w sprawie *Plessy v. Ferguson*. To pokłosie niepostuszeństwa oby-

na każdym rogu, a także w bardziej luksusowych lokalach. Jazz grano przy różnych okazjach – podczas pogrzebów, potańcówek, przyjęć i pikników. Była więc to muzyka bardzo demokratyczna, egalitarna i inkluzywna. Zresztą genealogia jazzu predysponowała go do tego. Wyrósł z różnych gatunków muzycznych z wielu zakątków świata. Są w nim obecne rytmy zachodnioafrykańskie, kubańskie, sycylijskie i amerykańskie. Będąc miastem portowym, Nowy Orlean świetnie nadawał się do powstania takiej mieszanki. Jazz czerpał również z form wyrażających odmienne stany emocjonalne – bluesa opartego na bolesnych ludzkich doświadczeniach, ragtime'u mają-

Filozofia pragmatyzmu pozwoliła wejść Ameryce na europejskie salony intelektualne

watelskiego Homera Plessiego, który kilka lat wcześniej w Nowym Orleanie jako Kreol usiadł w wagonie „tylko dla białych”.

Filozofia jazzu

Życie Nowego Orleanu w ostatniej dekadzie XIX w. nie było jednak tak czarno-białe jak przepisy prawa. Toczyło się w zupełnie innym rytmie. To właśnie w tym mieście zrodziła się zupełnie nowa muzyka – jazz. Można było go usłyszeć nie tylko, jak się upowszechniło, w dzielnicy prostytutek, Storyville, ale prawie

cego charakter taneczny i parodiowy oraz spirituals związanego z życiem religijnym czy duchowym. Od początku nie był również zamknięty na konkretne instrumenty, dając szeroki wybór muzykom – od bardzo skomplikowanych, takich jak fortepian czy kornet, po tak prymitywne jak tarka. Przełamywał nie tylko kwestie z tradycyjnie rozumianym rytmem wykorzystując synkopę, ale również podziały rasowe. Słuchali i grali go czarni, kreole i biali. Występy zespołów odbywały się niezależnie od rasowych porządków. Muzyka jazzowa



Photo by Chris Bair on Unsplash

od początku opierała się w dużym stopniu na improwizacji i interpretacji, ponieważ wykonujący często nie byli muzycznie wykształceni, nie znali i nie rozumieli zapisu nutowego. Grali z pamięci i ze słuchu. Były to często wariacje na „zadany” przez pierwszy głos temat, melodię czy nawet dźwięk.

Jazz od swego zarania ma więc charakter konwersacyjny. To rozmowa muzyków, dialog

improwizowany, a więc z konieczności opierający się na otwartości. Zarówno twórcy, jak i widownia nie wiedzą w jaką stronę potoczy się utwór. Jazz nie byłby jednak sobą, gdyby nie był pojemny na tyle, by pomieścić utwory aranżowane i solowe improwizacje. Jest muzyką rozrywkową, artystyczną i ludową zarazem. Ciężko zakwalifikować go jako folklor, muzykę popularną czy poważną. Zawiera elementy każdej z nich. Nie dziwi więc, że

panuje polifonia w tak zasadniczej kwestii jak ta, czym jest jazz i jak do niego powinno się podchodzić. Niektórzy wydobywają przede wszystkim rozrywkowy czy użyteczny charakter tej muzyki, nadającej się nie tylko do tańczenia podczas zabaw czy grania podczas uroczystości, ale także posiadającej siłę buntu, a nawet emancypacji. Inni z kolei podkreślają, że do zrozumienia jazzu potrzebna jest odpowiednia wiedza, bo jest to trudna sztuka, wymagająca namysłu. A przecież te rozbieżności pojawiają się wśród tych, którzy niewątpliwie znają historię oraz teorię jazzu.

Z pewnością teoria jazzu nie jest tak porywająca, jak sama muzyka. Bez wątplenia granie na instrumentach lub słuchanie muzyków i podzi-

Jazz od swego zarania ma więc charakter konwersacyjny. To rozmowa muzyków, dialog improwizowany, a więc z konieczności opierający się na otwartości

wianie ich kunsztu jest znacznie bardziej przyjemne, daje więcej satysfakcji i przyjemności. Posiadanie wiedzy o powstawaniu utworów, nie tylko z praktyki, ale i teorii, pozwala nam jednak zobaczyć więcej, a jeśli jesteśmy otwarci, to również zmienić naszą perspektywę czy zacząć inaczej odczuwać to, z czym obcujemy. I dotyczy to nie tylko muzyki.

Mała obrona teorii

To pierwszy powód, do którego trudniej chyba znaleźć bardziej teoretyczne stwierdzenie niż „to tylko teoria, więc do niczego mi się nie przyda”. I określenia „teoretyczne” używam tu jednocześnie w negatywnym, jak i pozytywnym sensie, w zależności od nastawienia czytelnika do teorii (tu wolałbym użyć dawnego słowa teoryj, wyraźnie podkreślającego mnogość). Drugi powód można przedstawić w następujący sposób.

Praktyka rządzi światem, a doświadczenie jest walutą cenną i pożądaną. Zarzuty o teoretyczność mają dyskredytować prezentowane tezy. Teoriom nie pomaga nastawienie ich głosicieli – pewność siebie, poczucie nie-

omyślności, zaborcza obrona. Tyle że również praktyków można opisać w ten sam sposób. O ile jednak teoretykom przypisuje się pewnego rodzaju bezpodstawność twierdzeń, o tyle za tymi drugimi przemawiać ma doświadczenie. Ma to odzwierciedlenie w niewielkim zainteresowaniu głoszonymi przez nich tezami, w odróżnieniu od uwagi przykładanej do

wypowiedzi i mądrości praktyków. Czytamy książki przez nich wydane, uczestniczymy w programach mentorskich, chodzimy na wykłady z ich udziałem, słuchamy podcastów z nimi. Mamy nadzieję, że czegoś możemy się od nich nauczyć, pomogą nam uporać się z naszymi problemami czy wątpliwościami albo chociaż utwierdzą nas w słuszności.

Tu jednak pojawia się pewien problem, zarówno teoretyczny, jak i praktyczny. Jeśli praktycy w danym obszarze mówią te same lub bardzo podobne rzeczy, rozkładając nieco inaczej akcenty, to w zasadzie mamy do czynienia z gotową teorią skrywającą się za maską praktyki. Z kolei przy wyraźnych różnicach, podkreślających taki lub inny czynnik, mamy do czynienia z kilkoma rywalizującymi teoriami. Różnice te mogą wynikać z odmiennych doświadczeń, problemów, z którymi akurat dane osoby w największym stopniu się mierzyły czy tego, na co zwracają większą uwagę w swoim życiu lub czego nie doceniają. Czasami może to być po prostu kalkulacja marketingowa. Trudno zresztą zmierzyć dokładnie wpływ danych czynników, tym bardziej, że w poszczególnych sytuacjach może się on różnić i w sytuacji odbiorców może mieć inną wartość. A jednak u takich praktyków-teoretyków poszukujemy rozwiązań, rad czy choćby wskazówek.

Jest jeszcze trzecia możliwość pochwały praktyki. To podejście radykalne. Wiąże się ono

wyłącznie z doświadczeniem własnym. Tylko ono ma autentyczną wartość. Inni na niewiele się nam mogą zdać. Oznacza to również, że my sami nie jesteśmy w stanie dzielić się doświadczeniem z innymi. Nie możemy ubrać go w słowa, a już na pewno zteoretyzować. Jest bowiem niepowtarzalne i nieprzekazywalne. Takie podejście przypomina więc doświadczenie mistyczne, choć nawet co poniektórzy mistycy starali się niezgrabnie opisać ów stan, stając się nawet niekiedy inspiracją dla czytelników. Bliższe jest to jednak prozie czy wręcz poezji niż *stricte* teorii, jak ją na ogół postrzegamy.

Może więc problem nie leży w teoriach, lecz w naszym na nie spojrzeniu i rozumieniu czym są? Czasami nie wiemy co z daną teorią zrobić, jak z niej skorzystać. Wydaje się wtedy kompletnie nieprzydatna. Często po prostu nie interesuje nas jej temat. Innym razem język lub sposób przedstawienia jest nieznośnie nieprzystępny. Znany fizyk-teoretyk, Richard Feynman podkreślał, że w sposób prosty i jasny można przedstawić nawet najbardziej skomplikowane zjawiska. Można to jednak zrobić, kiedy samemu rozumie się je bardzo dobrze.

Trudno wymagać od naszego leniwego umysłu zbyt dużego wysiłku. Świetnie pokazał to psycholog i laureat Nagrody Nobla z ekonomii Daniel Kahneman w książce *Pułapki*

myślenia. Niechętnie wprowadzamy nasz mózg na wyższe obroty, by myśleć... wolniej. Przechodząc z szybkiego, automatycznego i bezproblemowego myślenia w ramach Systemu 1. uruchamiamy większe możliwości Systemu 2., wymagającego jednak uwagi, skupienia i wysiłku. Ten dostaje impulsy nieustannie, jednak większość czasu pracuje

w trybie stand-by – na możliwie niskiej wydajności i poborze energii.

Koncepcja dwóch systemów umysłu zaprezentowana przez Kahnemana jest teoretyczna. Opiera się na eksperymentach, obserwacjach i własnych doświadczeniach autora. Nie jest to jednak przewodnik po naszym umyśle, ani

tym bardziej jego instrukcja obsługi. Nie wynika również z neurobiologicznego funkcjonowania mózgu. Sam noblista określa swoją książkę psychodramą. Wciąga też w nią czytelnika. To właśnie dzięki prostym eksperymentom możemy poczuć, jak w naszych głowach toczy się nieustanny improwizowany dialog między Systemem 1. a Systemem 2. Myśląc o sobie chętniej utożsamiamy się z drugim bohaterem. To jednak nieco ukryty, często przeoczany przez nas samych System 1., wybudzający mniej lub bardziej skutecznie swojego partnera, jest dla Kahnemana kluczową postacią. Tym bardziej, że wbrew pozorom potrafi ogarnąć całkiem złożone sy-

spojrzeć z bardziej praktycznej perspektywy. Poplątany związek teorii i praktyki doskonale widać na przykładzie jednej z najbardziej technicznych dziedzin, czyli inżynierii.

Odnotujmy najbanalniejszy fakt. Budowle, i to nieraz całkiem imponujące, ludzie wznosili zanim poznali wiele praw fizyki i zaawansowanych wzorów matematyczno-fizycznych. Jednak rozwój nauk fizycznych pozwolił nam na wznoszenie nowego typu budynków. Dokładne obliczenia, produkcja i wykorzystanie nowych materiałów od drugiej połowy XIX w. stawały się coraz bardziej powszechne. Budowa mogła być nie tylko lepiej zaplano-



Photo by César Guadarrama Canitú on Unsplash

Praktyka rządzi światem, a doświadczenie jest walutą cenną i pożądaną

tuacje, choć nie potrafi weryfikować i kontrolować podawanych odpowiedzi. To zadania Systemu 2, jednak nawet on nie gwarantuje niepopelniania błędów. W każdym razie relacje między bohaterami *Putapek myślenia* przypominają jazzowych muzyków podczas *Jam Session*, nieustającego *Call & Response* pierwszego i drugiego głosu.

Domy stawiano bez znajomości praw fizyki

To był argument teoretyczny, choć na koniec zrobiło się nieco metaforycznie. Czas

wana, zorganizowana, ale również bardziej oszczędna. Wciąż jednak potrafimy narzekać na jakość współczesnych konstrukcji, ich trwałość czy estetykę, a za wzór długowieczności i dobrego smaku stawiamy budowle sprzed tego okresu – antyczne świątynie czy amfiteatry, gotyckie katedry, rokokowe pałace.

Jeszcze 150 lat temu, kiedy wznoszono w Nowym Jorku Most Brookliński, co musiał widzieć Sienkiewicz podczas swojej podróży, budownictwo nie opierało się na bardzo dokładnych wyliczeniach. Inżynieria nie była

nauką, tak jak dziś o niej myślimy. Nie była tak dokładna, wciąż pozostawała niejasną sztuką, jedną z działalności człowieka opartą bardziej na doświadczeniu niż zaawansowanych teoriach i obliczeniach. Analiza wektorowa, mechanika statystyczna czy termodynamika dopiero raczkowały. Wkład w te dziedziny wniósł m.in. Josiah Willard Gibbs, szerzej nieznaną, ale przez takich noblistów jak Einstein, Max Planck czy nawet ekonomista Paul Samuelson uznawany był za jednego z największych naukowców, który jako pierwszy w Ameryce w 1863 r. otrzymał tytuł doktora z inżynierii.

Dekadę wcześniej, bez tej wiedzy Elisha Graves Otis skonstruował pierwszą windę

wynalazek Otisa, którego nazwisko wciąż możemy znaleźć w wielu budynkach, przyczynił się do upowszechnienia wind. Zanim jednak umożliwiły one powstanie drapaczy chmur i manhattańskiego skyline potrzebne było udoskonalenie ich mechanizmów w oparciu o fizykę teoretyczną. Dopiero to pozwoliło wdrapać się na wyższy poziom, dosłownie i w przenośni.

W przypadku myślenia jest podobnie jak z inżynierią. Bez rozmaitych teorii umysł sobie poradzi. System 1., a nawet System 2. przedstawi odpowiedź. Ba, rozwiąże niejedną problem. Często z sukcesem, a przynajmniej w zadowalający nas sposób. Znajomość teorii, przywołanie jej w pamięci, odwołanie się do niej,

Znajomość teorii, przywołanie jej w pamięci, odwołanie się do niej, a następnie przeprowadzenie rozumowania w oparciu o nią wymaga niechcianego przez nasz mózg wysiłku

z mechanizmem zabezpieczającym przed spadnięciem. Zaprezentował ją podczas wystawy światowej w nowojorskim Szklanym Pałacu w 1853 r. Pokaz zrobił wrażenie, a kilka lat później sprzęt jego produkcji został zamontowany w jednym z domów handlowych na Manhattanie. Był to zaledwie pięciopiętrowy budynek i nie wymagał windy, jednak

a następnie przeprowadzenie rozumowania w oparciu o nią wymaga niechcianego przez nasz mózg wysiłku. Skoro możemy dać sobie radę bez niego, to po co się wysilać? Z czasem teoria może stać się częścią Systemu 1. i przez jej pryzmat odruchowo patrzeć na pewne kwestie. Czy wtedy jesteśmy mniej narażeni na błędy?

Pochwała błędzenia

Czy teoria chroni nas przed popełnieniem błędu? Nie. Czy praktyka niechybnie zabezpiecza przed nim? Bynajmniej. Powoływanie się na teorię i praktykę z pewnością pozwala nam łatwiej wytłumaczyć przed innymi i sobą samym błęd. Odepchnąć go od siebie,

zdepersonalizować. W końcu postąpiliśmy właściwie, zgodnie ze sztuką. Nie można do nas mieć pretensji. W neuronauce błąd i reakcja mózgu na niego zanim go sobie jeszcze uświadomimy (pomiar ERN, *error-related negativity*) jest częstym miernikiem. Oczywiście w grę wchodzi znaczenie błędu i jego

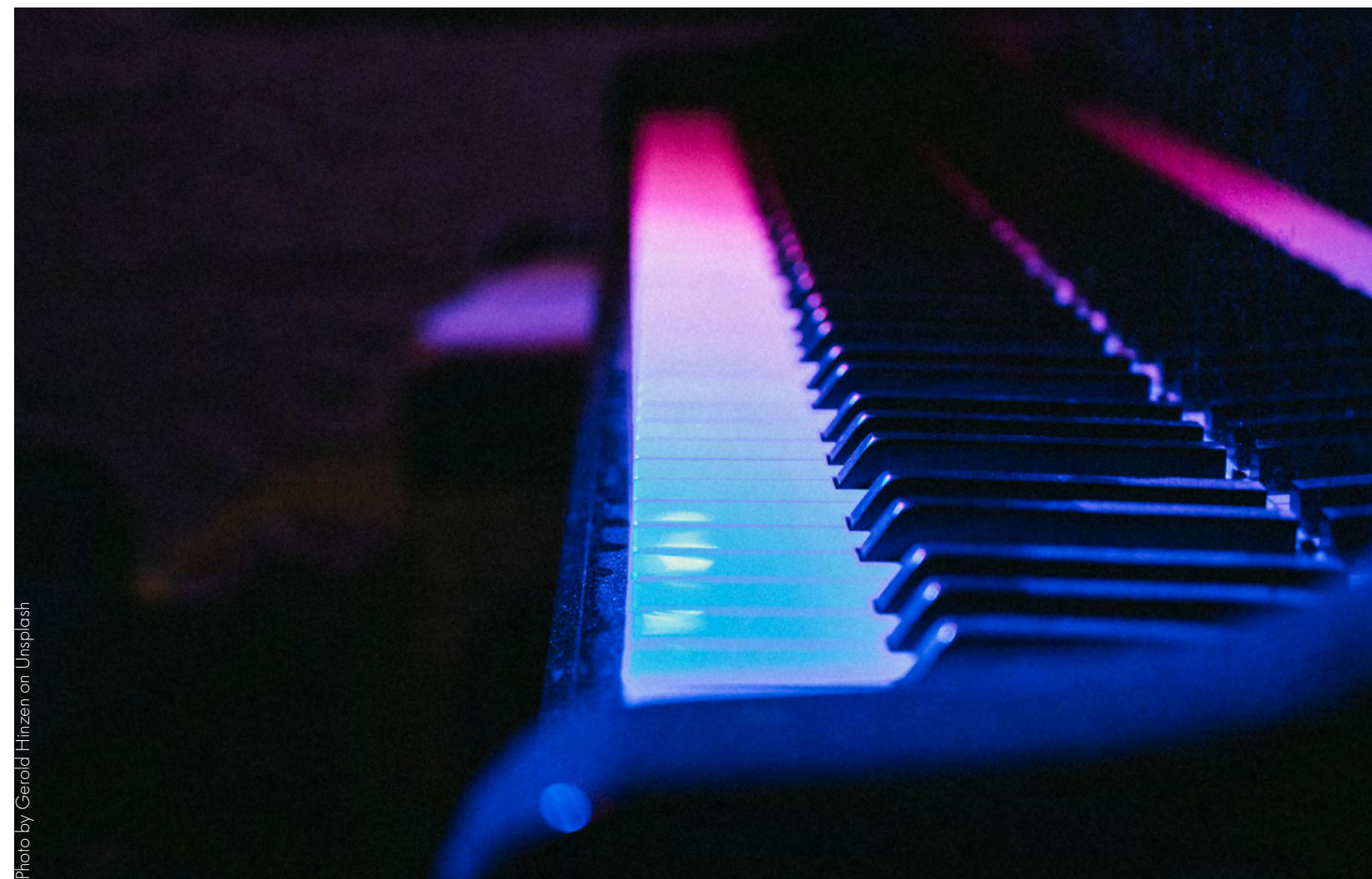


Photo by Gerald Himzen on Unsplash

konsekwencji. Jeśli dotyczy zadania podczas eksperymentu, nie będzie on wywoływać tak silnego stresu, jaki pojawi się w przypadku decyzji życiowych, nie wspominając o sytuacjach decydujących o naszym lub czyimś życiu. Różne czynniki zmniejszają reakcję naszego organizmu na popełniony błąd. Jak pokazuje neuronauka, jednym z nich jest nawet wiara religijna. Jak zauważyli w swoim eksperymencie Michaela Inzlichta i Alexy Tullett, w przypadku osób wierzących działa ona w podobny sposób jak leki przeciwlękowe czy uśmierzające ból, choć u niewierzących zwiększa stres i wywołuje postawy obronne. W świetle dzisiejszego podejścia do zdro-

nie tracić czasu i sprawdzać kolejne przypuszczenia. Podobnie przedstawiał to filozof nauki Karl Popper, dla którego możliwość falsyfikacji była jednym z kryteriów naukowości twierdzeń. Innymi słowy, jeśli nie można udowodnić, że coś jest błędne, nie może być naukowe. Wszelkie piękne teorie, objaśniające niepodważalnie wszystko a niemogące zostać obalone należą do innego porządku i trzeba podchodzić do nich z dużą ostrożnością. Również historyk nauki, Thomas Kuhn w swojej koncepcji rozwoju nauki nie poprzez kumulację wiedzy a zmieniające się paradygmaty zakładał milcząco, że nieuchronne trzymanie się środowiska naukowego jakiegoś hegemonicznego paradygmatu opie-

Wszelkie piękne teorie, objaśniające niepodważalnie wszystko a niemogące zostać obalone należą do innego porządku i trzeba podchodzić do nich z dużą ostrożnością

wia psychicznego, z pierwszego powodu wiary i przekonań religijnych nie powinno się stygmatyzować, z drugiego narzucać, nie tylko nachalnie, ale i dyskretnie.

W sercu samej nauki, dla której teorie i praktyczne ich sprawdzanie są krwioobiegiem, leży popełnianie błędów. Feynman podkreślał, że mylenie się jest ostateczną weryfikacją w nauce, dzięki której rozwija się wiedza, pozwala

rać się musi na błędzie, choć w danym czasie czy okolicznościach użytecznym i wystarczającym. Jeszcze dalej posunął się Paul Feyerabend namawiając do anarchizmu metodologicznego, odwagi korzystania z rozmaitych, niewspółmiernych teorii (ryzykując błędzenie), których słuszność określi dopiero empiria.

Dla Feyerabenda teorie, a zwłaszcza śmiałe korzystanie z ich mnogości jest otwierające.

Kuhn natomiast pokazał ograniczającą moc trzymania się jednej. Zafiksowanie na teorii i odrzucanie wszystkich innych, nawet w przypadku, zdawać by się mogło, tak otwartych umysłów i refleksyjnych osób jak naukowcy, jest jednak dość powszechne i grozi tkwieniem w błędzie. Ignorowanie anomalii lub niezachwiane przekonanie o wyjaśnieniu jej w oparciu o obowiązujące lub wyznawane przez daną osobę podejście bierze się nie tylko z trzymania się tego, co dobrze znane i sprawdzone, ani z przekonania o kumulatywnym charakterze wiedzy, ale także z nadziei, że całą wiedzę da się połączyć w jedną spójną całość. Skoro wszystko ostatecznie ma do siebie pasować, to nic nie stoi na przeszkodzie, by pozostać na swoim polu badawczym i je kultywować. Jednak, jak podkreślał Feynman w przypadku fizyki, w której najsilniej obecne jest założenie o spójności wiedzy, nie wiadomo czy coś takiego może się udać. Co jeśli poszczególne puzzle nie składają się w całość, a wyłaniający się częściowy obraz i nadzieja na złożenie wszystkiego wiąże się jedynie z tendencji naszego mózgu do kreowania pełnych, koherentnych wizualizacji, nawet gdy brakuje dużej części elementów? To przecież robi chociażby z niepełnym i rozmytym obrazem z siatkówki oka czy fragmentami historii.

Wizja niepasujących do siebie fragmentów wiedzy musi budzić większy niepokój niż

spoglądanie na świat jako harmonijną całość, a przynajmniej z wiarą, że tak jest lub może być. Skoro jednak nie wszystko pasuje, to co w sytuacji konfliktu jednego rodzaju wiedzy z innymi, jednej teorii z drugą i trzecią? Co ma decydować o tym, do której się odwołać? Albo która w danej sytuacji jest lepsza czy bardziej użyteczna? A jeśli dla kogoś kategoria prawdy jest kluczowa, to jak wyznaczyć podejście czy metody zbliżające do niej? I w końcu, kto ma o tym wszystkim decydować?

Nie lepiej wygląda to w przypadku praktyki. Ona też ogranicza. Jeśli coś się sprawdza, niechętnie zmieniamy postępowanie. „Lepsze jest wrogiem dobrego” głosi ludowe porzekadło, wyrażające oakeshottowską postawę konserwatywną. Sami praktycy swoje doświadczenie starają się uniwersalizować, o czym była mowa przy okazji możliwości dzielenia się nim. Nie zawsze głoszone przez nich mądrości są ze sobą zgodne, i wtedy też musimy decydować, które podejście będzie bardziej odpowiednie w naszym przypadku. Które do nas bardziej przemawia? Czy istnieje tylko jedno właściwe rozwiązanie, jedna prawidłowa odpowiedź? Czy prowadzi do nich tylko jedna ścieżka? Jeśli nie, w jaki sposób wybrać spośród nich? Jak rozstrzygnąć, co będzie lepsze w danej sytuacji? Jakimi kryteriami powinniśmy się kierować? Czy są lub muszą być one zawsze merytoryczne, a może decyduje czas czy zadowolenie nasze czy

drugiej osoby? Czasami jesteśmy zwolnieni z dokonywania takich wyborów, gdy mamy narzucony z góry konkretny model. Innym razem sami sobie go wypracowaliśmy i się go trzymamy. W obu przypadkach nie musimy już zastanawiać się nad istniejącymi alternatywami. Możemy działać intuicyjnie, na poziomie Kahnemanowskiego Systemu 1.

Nauki społeczne a literatura

Po co były te rozważania o sprawach teoretycznych, inżynierskich i naukach fizycznych? By podkreślić, po pierwsze, że dobrze zachowywać elastyczność i czerpać z wielu, niekiedy sprzecznych ze sobą doświadczeń.

Podziały i spory w demokracji opierają się w dużej mierze właśnie na preferencjach dotyczących baśni. Nie tylko tych ekonomicznych, ale i politycznych

Po drugie, że nawet w wydawać by się mogło tak weryfikowalnych dziedzinach nie jest łatwo o jednoznaczność i bezdyskusyjność. Jak w takim razie oczekiwać tego od życia społecznego i politycznego? Jednak jeśli wstępujemy się w codzienne rozmowy, przyjrzymy się wyznawanym wartościom czy głoszonym światopoglądom, nagle znika ta wieloznaczność. Pojawiają się sztywne elementy, tendencja do jednoznacznych odpowiedzi. Nawet w naukach społecznych wciąż spotykamy się

z tą pokusą. Pomimo odcięcia się od swoich XIX-wiecznych korzeni fizjologii czy fizyki społecznej – dziedzin wówczas utożsamianych jeszcze z wiedzą niebudzącą wątpliwości – wciąż poszukiwane są jednoznaczne odpowiedzi. Oczekiwania i presja społeczna na to jest ogromna, pomimo doświadczenia wielości podejść przedstawianych jako pewne, jednak niewspółmiernych. Jednocześnie opór w społeczeństwie przed inżynierią społeczną, nawet opartą na najlepszej w danym momencie wiedzy, stoi z tym w sprzeczności, nawet pomimo odwiecznego dyscyplinowania czy nowoczesnych – od czasu XVIII-wiecznych fizjokratów – technik władzy nakierowanych

na bezpieczeństwo państwa i społeczeństwa nie poprzez zakazy i nakazy, lecz pozostawienie szerokiej sfery wolności, czemu chcąc nie chcąc ulegamy.

Gdy w XIX w. dojrzały nauki społeczne, o status wiedzy i refleksji nad życiem nowoczesnych społeczeństwach rywalizowały z literaturą, zwłaszcza z rodzącą się powieścią. Naprzeciwko siebie stali Comte i Balzac, Quételet i Flaubert, Malthus i Dickens, Marks

i Thackeray. Naukowa ekonomia, socjologia i pokrewne dziedziny dopiero torowały sobie drogę do społecznego uznania i ulokowania się między naukami przyrodniczymi a humanistycznymi. Znaczeniem odkryć i pewnością zdobytej wiedzy chciały dorównać przyrodzownawstwu, w tym zwłaszcza prawom fizyki. Jednocześnie dążyły do odcięcia się od humanistyki i literatury filozoficznej, historycznej, politycznej, moralistycznej czy nawet

teologicznej. Paradoksem jest, że najbardziej doniosła teoria przyrodnicza tamtego czasu, teoria ewolucji Darwina rozprzestrzeniła się, ponieważ książka brytyjskiego biologa *O powstaniu gatunków* była świetnie napisaną literaturą czerpiącą z narracji powieści, dramatyzującą nudne, trwające tysiąclecia procesy.

Dziś nieśmiało wraca się do związków nauk społecznych z literaturą. Filozofka Nancy



Photo by Bogomil Mihaylov on Unsplash

Cartwright czy ekonomista Dani Rodrik w książce *Rządy ekonomii* pokazują, że modele ekonomiczne nie są niczym innym jak w innym języku opowiedzianymi baśniami, opowieściami lub przypowieściami. Ich mnogość odpowiada odmiennym sytuacjom. Z tego też powodu ich morały bywają sprzeczne. Stąd bierze się niepewność i pytanie jakie rozwiązanie czy podejście w konkretnej sytuacji sprawdzi się najlepiej. Ta wielość, różnorodność i niespójność przypomina biblijne mądrości, dzięki którym chrześcijaństwo mogło przetrwać wieki, dając odpowiedzi czy propozycje działań w różnych sytuacjach, z których ludzie mogli wybierać i którymi mogli się podierać w sytuacji wyboru. W przypadku ekonomii pomocne powinny być dane empiryczne, jednak w ich przypadku sprawa nie jest taka prosta. Nawet jeśli baśnie te próbować

Nowe słowa lub ich znaczenia natomiast otwierają przed nami nowe możliwości, nowe przestrzenie. Mogą zmieniać nasze myślenie o sprawach, łącznie z nastawieniem do nich

przebrać w skrajnie naukowe szaty i podchodzić do nich niczym do eksperymentów laboratoryjnych – jak pokazuje Rodrik – naukowiec stoi przed koniecznością szeregu wyborów, które wpłyną na interpretację danych. Dodatkowa trudność pojawia się, gdy wybór dotyczy przyszłej polityki ekonomicznej – przyszłość jest

wynikiem eksperymentów, nawet jeśli polegających na powtarzaniu tego, co już sprawdzone. Z punktu widzenia demokracji ważne jest, że po pewnym czasie ich wyniki mogą jednak zostać zweryfikowane. Tylko bowiem empiryczne kwestie, niezależnie od uzasadnień i dorabianych tłumaczeń mogą podlegać demokratycznej kontroli. To jedyne pocieszenie w tym pogmatwanym świecie, choć nie ma już pewności jakie rezultaty przyniosą konkretne rozwiązania w innym czasie i okolicznościach. I większość opcji pozostanie niesprawdzona. A także jakimi kryteriami zostaną ocenione.

Podziały i spory w demokracji opierają się w dużej mierze właśnie na preferencjach dotyczących baśni. Nie tylko tych ekonomicznych, ale i politycznych. W czasie, kiedy rodziły się nauki

społeczne, krystalizowały się również główne stanowiska i wrażliwości społeczno-polityczne – konserwatywne, liberalne i socjalistyczne, do dziś kształtujące politykę na Zachodzie. Nie były one nigdy jednorodne, w ramach każdej z nich toczyły się ostre spory o metody działania, o możliwe kompromisy z rzeczywistością.

Nie inaczej jest dziś. Podobnie jak przypowieści ekonomiczne, tak baśnie polityczne zawierają mnóstwo mądrości. Jednak w imię stworzenia spójnej doktryny i w oparciu o nią budowanie świata społecznego oraz dbania o jego czystość, niektórzy gotowi są porzucić część ludzkiego doświadczenia. Ignorować, uznawać je za nieistotne albo wręcz nieistniejące, podchodzić do niego jakby było nieprzekazywalne. Wszystko w oparciu o przekonanie, że istnieje może tylko jedna słuszna odpowiedź na problemy, jeśli nawet nie ludzkości, to społeczeństw w zachodnim kręgu kulturowym.

Sami musimy oceniać i podejmować decyzje. Z tego powodu nie dziwi zwracanie się w stronę konkretnych doktryn, teorii i trzymanie się ich kurczowo

Wielka rozmowa ludzkości

Wróćmy na chwilę do Ameryki końca XIX w., w której coraz głośniej rozbrzmiewał jazz. W tym czasie psycholog i filozof William James tworzył zręby pragmatyzmu. Po stu latach jego myśli, niedotyczące bezpośrednio polityki, i postawa zostały odczytane jako demokratyczny temperament. „Demokratyczny temperament – pisał J.J. Miller – obejmuje gotowość do działania, przedkładanie dobra publicznego nad prywatną wygodę, wielkość wobec przeciwników i niemal powszechny szacunek”. Choć Ameryka za życia

Jamesa uchodziła za najbardziej demokratyczne społeczeństwo, wciąż przecież istniała segregacja rasowa, kobiety nie posiadały praw wyborczych i kultura stawiała im liczne przeszkody, co oznacza, że były osoby, które takie rzeczy głosili i popierały.

Choć dziś poprawiło się pod wieloma względami, wciąż przecież wiele jest do zrobienia. Dodatkowo dochodzą nowe problemy. Powiększająca się niechęć do politycznych przeciwników, radykalizacja języka – pomi-

mo narzekań na nie zjawiska te pozostają na tyle skuteczne, że żadna strona nie chce z nich zrezygnować, wykorzystuje się każdy błąd przeciwnika do ataku na niego. Jak zauważył Cass Sunstein (prawnik, szef Biura Informacji i Regulacji [OIRA] w Białym Domu za prezydenta Obamy) w książce *Sprzeciw w życiu społecznym*, grupy podobnie myślących osób mają tendencję do radykalizacji.

Obserwował to .in.. w przypadku sędziów, którzy w zależności od preferencji wyjściowej – skłaniania się do umiarkowanie łagodnego lub surowego wyroku – po konsultacjach z sędziami o podobnych preferencjach



radykalizowali swoje wstępne podejścia, w stronę bardziej łagodnych lub bardziej surowych. Nawet jednak w zróżnicowanych grupach osoby umiarkowane lub mniejszości inaczej myślące mają skłonność do niedzielenia się informacjami czy swoją perspektywą, ukrywania ich, oddając miejsce dla samonapędzającej się radykalizacji, od tej zachodzącej w głowach po tę wypowiedzianą.

Na poziomie społeczeństw taka rozmowa toczy się nieustająco. Głosy w niej stanowią również rozmaite teorie, filozofie, podejścia zarówno te najnowsze, jak i sprzed dekad, stuleci, a nawet tysięcy lat. Każda osoba zapoznająca się z nimi jakby rozmawiała z przyjaciółmi, nawet bardzo różniącymi się wrażliwością społeczno-polityczną, sposobami myślenia, perspektywą czy hierarchią wartości. To wielka rozmowa ludzkości, która w cywilizacji europejskiej toczy się od starożytnej Grecji, ale nieobce są w niej wpływy innych kultur. Są to często wariacje na dobrze znany temat, podejmowanie starego motywu i jego rozwijanie czy modyfikowanie, ale pojawiają się także nowe instrumenty i melodie. Ukazujące się głosy często są improwizowane, ale można też spotkać się z przygotowaną aranżacją. Ta wielka rozmowa ludzkości przypomina więc filozofię i praktykę jazzu.

Michael Oakeshott opisał wielką rozmowę ludzkości dotyczącą relacji człowieka

z samym sobą i z innymi ludźmi jako konwersację, w której biorą udział cztery instrumenty. Brytyjski filozof wymieniał historię, naukę, praktykę i poezję. Każda z nich na swój sposób wyraża ludzkie doświadczenie, ma własną barwę dźwięku i możliwości. Musi panować między nimi otwartość, żadna z tych dziedzin nie może dążyć do wyłączności i dominacji. Ta rozmowa jest na swój sposób niekonkluzywna, jeśli przez to rozumieć ostateczną, a nie przygodną odpowiedź. Razem tworzą jednak utwory. Podobne pluralistyczne podejście dobrze się sprawdza również w każdej z tych dziedzin, z ich wewnętrzną różnorodnością, do których zaliczyć należy niewspółmierne teorie i praktyki.

Często jednak napotykamy konkretną teorię czy filozofię, która nas porywa. Chcemy tylko jej słuchać, czy wyłącznie na niej grać. Zdaje się nam, że tłumaczy otaczający nas świat, odpowiada na pytania, które są naszymi pytaniami, proponuje rozwiązanie problemów przez nas uznawanych za najważniejsze. Zaczynamy otaczać jeśli nie autora, to jego prace pewną czcią, nawet dopuszczając ich krytykę lub samemu posiadając krytyczne uwagi. Często jednak lądujemy w bańce, w tematach przez nią poruszanych i proponowanych odpowiedziach. Zamykamy się, usztywniamy, radykalizujemy. O ile w przypadku osób chcących rozwijać daną teorię czy podejście,

pracować nad nimi, doprecyzowywać je jest to całkiem normalne – działają jak naukowcy w laboratorium, „bawiąc się” swoim obiektem i narzędziami lub chcą stać się wirtuozami gry na swoim ulubionym instrumencie – to w przypadku pozostałych takie podejście nastrocza wiele problemów. Jeśli uznalibyśmy, że tylko jedna doktryna może być prawdziwa, wtedy musielibyśmy przyjąć wszystkie inne za pozbawione sensu. Jak ostatecznie uzasadnić, że to nasze podejście jest słuszne, a dla niektórych nawet prawdziwe? W jaki sposób przekonać innych do tego? Kto miałby rozstrzygnąć słuszność?

Wcale nie bardziej jednoznaczne i pozbawione pytań jest dopuszczenie możliwości wielu konkurencyjnych doktryn czy teorii. Pojawia się pytanie: jak odróżnić te z nich, które mają podstawy i odniesienie do rzeczywistości, od tych, które są zwykłymi fantasmagoriami? Jak sprawdzać ich wartość? Czy istnieje jedna niezawodna metoda? A może jesteśmy skazani, jak w przypadku nauki pokazał to Feyerabend, na poszukiwania z wykorzystaniem różnych metod i teorii? Z perspektywy historycznej to się właśnie dzieje.

Obywatelska *lingua franca*?

Inny problem w przypadku doktryn i teorii, nawet ich mnogości, wiąże się z ich tworzeniem i dalszym życiem. Jeśli mogą być wyrażane

tylko w określonym języku – w konkretnej siatce pojęć – to ich autor stawałby się kimś na kształt mesjasza. Trzeba byłoby też strzec czystości doktryny, chronić przed zewnętrznymi wpływami. W ten sposób stracilibyśmy jedną z najważniejszych wolności – wolność języka. A język musi być żywy, plastyczny inaczej popadnie w mowę-trawę czy nowomowę, a więc pustkę, oderwie się od rzeczywistości.

Nowe słowa lub ich znaczenia natomiast otwierają przed nami nowe możliwości, nowe przestrzenie. Mogą zmieniać nasze myślenie o sprawach, łącznie z nastawieniem do nich. Z tego powodu zawsze obawiano się wprowadzania w ten sposób tylnymi drzwiami tego, co dotychczas społeczeństwo odrzucało uznając za „nienormalne” czy niepożądane. Stąd też wynikała zaciekłość, zwłaszcza obrońców dotychczasowego porządku moralno-pojęciowego, przed upowszechnianiem nowej nomenklatury. Nie można jednak uznać, że każde nowe pojęcia mające zmienić sytuację są same z siebie dobre. Mowa-trawa czy nowomowa są właśnie najlepszymi tego przykładami. W ocenie każdego przypadku – uznania nowych słów za pozytywny czy negatywny – pozostajemy sami. Nie możemy zrobić nic więcej niż zajrzeć za kurtynę i zobaczyć, co za danymi słowami się kryje. Tu jednak czeka pewne niebezpieczeństwo – dotychczasowy stosunek i podejście do

tematu, a także dobrze znane pojęcia. Mimo to tkwi w tym nadzieja zmian.

Inna nadzieja wiąże się ze zmianą wartościowania pojęć, a przynajmniej ich neutralizacją. Tu pojawia się kolejne pytanie. Które z podejść wybrać – nowe pojęcia czy przewartościowanie dotychczasowych? Nie wiadomo, które się sprawdzi, które poniesie porażkę. Ostatecznie oba mogą okazać się nieskuteczne. Z pozycji pragmatycznych trudno więc wyrokować, jaką drogą pójść. Do tego dochodzi kwestia, czy i jak bardzo chcemy ograniczać nasz język o pojęcia czy zwroty negatywnie naznaczone w toku historii w obawie przed recydywą niechcianych zjawisk? Na ile jest to w ogóle możliwe? Wydaje się więc, że istotniejsze niż same pojęcia jest to, co się za nimi kryje. Tu jednak wpadamy w pułapkę dawnego sporu między realizmem a nominalizmem, czyli na ile pojęcia ogólne są realne, a na ile są tylko słowami reprezentującymi wchodzące w jego zakres pojęciowy rzeczy. Czy człowiek jest po prostu człowiekiem, czy jednak zbiorem narządów takich jak mózg i ręka z których się składa, ale te z kolei składają się z komórek itd.? Każde z tych podejść ma swoje konsekwencje, jak pokazywał chociażby konserwatywny myśliciel Richard Weaver.

Trudności dostarcza także sama plastyczność języka z jego zabiegami stylistycznymi.

Pozwalają nam one sprawniej się komunikować, odkładając na bok problemy takie jak powyższy, choć czasami prowadzą do nieporozumień lub niezrozumienia. Z pewnością jednak utrudniają sporządzenia niepodważalnych odpowiedzi, ostatecznego zapisu nutowego, a zachęcają do improwizacji. Ciężko bowiem wyobrazić sobie we współczesnych mocno zróżnicowanych społeczeństwach opisywanie świata jednym językiem, pomimo że w nieodległej przeszłości nie trudno znaleźć osoby zabiegające o przekształcenie jednej teorii w jedyne obowiązującą i chcące wyrugować innych uczestników rozmowy.

W sytuacji pluralizmu potrzebne są pewne umiejętności obywatelskie pozwalające porozumiewać się pomimo tych znaczących różnic w preferowanych teoriach, posiadanych doświadczeniach, wyznawanych hierarchiach wartości. Niezbędna jest pewna otwartość, podejście do innych jak do uczestników wielkiej rozmowy ludzkości, nawet jeśli druga strona go nie odwzajemnia. Nawet teorie spiskowe – choć mogą drażnić, a czasami być niebezpieczne – mogą stanowić głos w rozmowie ludzkości. Jeśli nie są głoszone dla beki, mogą wyrażać bunt przeciwko dominującej w oczach buntownika wizji świata. Czasami zachłyśnięcie się nimi może wynikać z potrzeby uporządkowania chaotycznego świata czy znalezienie wytłumaczenia dla zachodzących – na ogół przez daną osobę nie lubianych czy wręcz nieakceptowanych

– procesów i zjawisk społecznych i politycznych. Odbijają jak w krzywym zwierciadle założenia myślenia, np. że władza zawsze musi być skoncentrowana w czyichś rękach mających pełną kontrolę czy przeświadczenie, że nawet jeśli sprawy idą w złym kierunku, to ktoś konkretny za nie odpowiada.

Elastyczność czy sztywność?

Obraz wyłaniający się z całości tych rozważań nie przedstawia się w jasnych barwach. Dominującym odcieniem jest niepewność, w obliczu której pozostajemy sami. Sami musimy oceniać i podejmować decyzje. Z tego powodu nie dziwi zwracanie się w stronę konkretnych doktryn, teorii i trzymanie się ich kurczowo. Oferują one gotowe odpowiedzi, porządkują otaczający nas chaos, usuwają niejednoznaczności, a do tego tłumaczą świat. Czasami proponują jedyne miarę, podług której możemy oceniać rzeczywistość, z którą się mierzymy, ale to już coś. Wizja niezastanawiania się, nierozstrzygania, niedokonywania wyborów samemu bywa kusząca.

Przypomina to ucieczkę od wolności, którą opisał Erich Fromm. Z tą różnicą, że amerykański psycholog i filozof niemieckiego pochodzenia pisał swoją pracę w kontekście nazizmu i kluczowe dla niego było zjawisko osamotnienia ludzi w nowoczesnych społeczeństwach poszukujących w tej ideologii odpowiedzi na nie. Zarysowana tu perspektywa na pierwszy rzut oka może się wydawać

znacznie mroczniejsza, ponieważ przekracza ona konkretne historyczne doświadczenie, a wydobywa na wierzch kondycję nie człowieka nowoczesnego, lecz człowieka jako takiego w oparciu o nowoczesne głosy w wielkiej dyskusji ludzkości. Jednak wbrew pozorom jest to niezwykle optymistyczna wizja, która daje większą swobodę niż poszukiwania schronienia w wąskich ramach tej czy innej doktryny czy teorii. Zachęca do sięgania po różne doświadczenia i czerpania z nich pełnymi garściami.

Czasami można mieć wrażenie, że przy takim podejściu ludzie mogą sobie nie poradzić, a świat się rozpadnie. Jednak doświadczenie pokazuje, że potrafimy sobie radzić bez niepodważalnych doktryn. Przykładem z jednej strony są ci, którzy zrobili już taki krok i wyszli poza dotychczasowe swoje mniemania, a także ci, którzy pomimo zmian, jakie dokonały się w społeczeństwach Zachodu poradzi sobie. W ostatnich latach wiele mówiło się o zwichnięciu demokracji (*Tak umierają demokracje*

Letvistskyego i Ziblatta, *Zmierzch demokracji* Applebauma, *Faszyzm. Ostrzeżenie* Albright, nieco wcześniej *Wieczny powrót faszyzmu* Riemeną). Jeszcze inni wieścili zwichnięcie liberalizmu, a przynajmniej jego dotychczasowej postaci (Jan-Werner Müller, Mark Lilla). Ci szli zresztą śladami Johna Graya. Liczni konserwatyści nieustająco walczą z upadkiem cywilizacji i chcą jej bronić, usztywniając swoje podejście i doktrynując innych, by się do ich wizji dostosowali. Podobnie zresztą jak lewicowi autorzy utyskujący na koniec świata pracy i ideałów socjaldemokratycznych. W obliczu kryzysu są dwa wyjścia. Albo sztywno i niezachwianie trwać przy swoich przekonaniach i doktrynach, albo uelastyczyć swoje podejście, co nie oznacza przecież rezygnacji ze stanowczości. Liberalowie mają większą skłonność do mniej doktrynalnego podejścia i chętniej czerpią z wielu doświadczeń, choć są wśród nich również tacy, którzy w doktrynie upatrują lekarstwa na społeczne bolączki. Wydaje się jednak, że gdy zwichnie, smak wolności przynosi jazz intelektualny. ●



PIOTR GÓRSKI

Historyk idei, eseista, komentator spraw publicznych. Publikował m.in. w „Res Publice Nowej”, „Polityce”, „Teologii Politycznej”, „Polska The Times”. Komentował wydarzenia polityczne i społeczne m.in. w Polsat News, TVP Info, TOK FM, Jedyńce Polskie Radio. Przez wiele lat redaktor „Res Publici Nowej”, współpracował z Polityką Insight przy redagowaniu raportów. Koordynował liczne projekty i wydarzenia m.in. dotyczące społeczeństwa obywatelskiego, kultury, świata cyfrowego. Moderator debat publicznych. Tworzy serial idei Główne nurty demokracji liberalnej. Tańczy w miejscach publicznych.

ZIELONI 2023

BEATA KRAWIEC

Kiedy zobaczę Donalda Tuska, który jako lider Koalicji Obywatelskiej proponuje w najbliższej kampanii parlamentarnej przyjęcie ustaw o związkach partnerskich, dekryminalizacji rekreacyjnego użytku konopi indyjskich, czy stopniowym zakazie hodowli zwierząt na futra to uznaję, że zielony kwiatek do kożucha spełnił swoją rolę progresywnego przodownika pracy na rzecz zmian politycznych w Polsce.

Mamy początek kwietnia 2023 roku, do wyborów parlamentarnych mniej niż 6 miesięcy, Zieloni zapewne są na etapie negocjacji miejsc na wspólnej liście wyborczej w ramach Koalicji Obywatelskiej. Czy dobrze wypadną w roli kwiatka do kożucha na liście Koalicji Obywatelskiej? Na pewno lepiej niż na listach komitetów lewicowych we wczesnych latach dwutysięcznych. Na miejscu współprzewodniczących tej partii co tydzień wysyłałabym do Grzegorza Schetny butelkę dobrego alkoholu lub własnoręcznie zrobione wegańskie ciasto. To dzięki jego otwartym ramionom po raz pierwszy w historii wprowadzili postów do polskiego parlamentu.

Decyzją XII Kongresu w lutym 2018 działacze Zielonych zdecydowali się na dołączenie ich partii do budowanej przez lidera Platformy Obywatelskiej szerokiej koalicji przeciwko Zjednoczonej Prawicy. Ta kluczowa decyzja oddzieliła ich grubą linią od happeningowych początków partii, kiedy pierwsi polscy aktywiści ekologiczni protestowali przeciwko budowaniu w Polsce elektrowni atomowych w Żarnowcu czy Kłempiczu, zakładali organizacje broniące praw zwierząt i schroniska. Późniejsza partia Zieloni 2004 chciała się kojarzyć europejsko, tworzyć w Polsce nową siłę polityczną, ale jej przekaz w sposób ograniczony docierał tylko do garstki wyborców, głównie w większych miastach wojewódzkich. W państwie na

dorobku, z obywatelami bez zaspokojonych podstawowych potrzeb życiowych Zieloni nie zaistnieli w masowej świadomości.

O czym marzyli Polacy w 2004? Według Diagnozy społecznej, 2003 aż 59% z nas wierzyło, że wejście do Unii Europejskiej poprawi jakość naszego życia. Część skorzystała z akcesji dosłownie – polska masowa emigracja do Wielkiej Brytanii, Irlandii i innych państw Unii na zawsze pozostanie doświadczeniem pokoleniowym wielu z urodzonych w wyżu lat 70. i 80. Marzyli oni o domu, samochodzie, pracy i uwolnieniu się z więzów społecznych oczekiwań w swoich wspólnotach. To wtedy Smarzewski nakręcił „Wesele”, Krzysztof Krauze „Plac Zbawiciela”, a brakiem polityki mieszkaniowej państwa interesował się jedynie były poseł SLD Piotr Ikonowicz. Lewica oddała władzę po aferze Rywina, a prawica dopiero zaczęła trwającą do dziś wojnę polsko-polską.

Opresyjne państwo w postaci pierwszego rządu Prawa i Sprawiedliwości niechętnie pomogło uświadomić ekologicznie miliony Polaków poprzez upór urzędników w planowaniu poprowadzenia obwodnicy Augustowa przez dolinę Rospudy. Masowe protesty w tej sprawie, stały przekaz medialny i pierwsza poświęcona tylko Polsce rezolucja Parlamentu Europejskiego powstrzymały prace i skłoniły rząd do konsultacji innego wariantu trasy.

W najbliższym czasie dla Zielonych może już nie być koniunktury politycznej lepszej niż obecnie. W ciągu ostatnich lat Pogoda już nie raz pokazała nam skalę problemów, jakie wynikają z przegrzania planety, począwszy od suszy na południu Europy, skończywszy na powodzi w Niemczech i Belgii 2 lata temu. Ekstremalne zjawiska wpływają na decyzje

Nigdy wcześniej nie było tak łatwo być w Polsce weganinem, kupować produkty wyprodukowane odpowiedzialnie i inwestować w ochronę środowiska

polityczne Niemców oraz na ceny produktów spożywczych, co na pewno na większą skalę zmieni nawyki żywieniowe Polaków. Zaczęliśmy się martwić o środowisko, bo bezrobocia prawie nie ma, na raty kredytu hipotecznego w miarę starcza, kryzys wiary jest bardziej niż widoczny, a dzieciom chcemy zostawić chociaż namiastkę wakacji na łonie natury.

Nigdy wcześniej nie było tak łatwo być w Polsce weganinem, kupować produkty wyprodukowane odpowiedzialnie i inwestować w ochronę środowiska. Nawet Krajowy Plan Odbudowy, który zaproponował rząd Zjednoczonej Prawicy zawiera propozycje działań zwiększających zieloną mobilność i transformację energetyczną. I jak się w tym czasie odnajdą nasi wrażliwi ekologicznie politycy?

U Zielonych widać od kilku lat pokoleniową zmianę, która profesjonalizuje działania partii, szkoli działaczy, dba, by zdobywali europejskie doświadczenie w siedzibie swojej międzynarodówki w Brukseli. Deputowani z grupy Zielonych w Parlamencie Europejskim są doskonale poinformowani o bieżącej sytuacji politycznej w Polsce, reagują na łamanie pra-

worządności, deptanie praw kobiet, w miarę możliwości zabierają w tych sprawach głos na sesjach plenarnych i posiedzeniach komisji.

Wciąż niewykorzystanym politycznie w kraju potencjałem jest obecność w PE Sylwii Spurek, która po odejściu z Wiosny i frakcji socjaldemokratycznej finalnie znalazła się w Grupie Zielonych/ Wolnego Przymierza Europejskiego. Z niejasnych przyczyn nie związała się z polskimi Zielonymi, dla których mogłaby być merytorycznym i finansowym wsparciem, nie mówiąc już o doświadczeniu, jakie działacze partii mogliby zdobyć w trakcie współpracy z nią.

Gdyby nie Parlament Europejski i jego fundusze na promocję posłów, Zbigniew Ziobro nie zdecydowałby się na utworzenie własnej

partii i odejście z PiS w 2010 roku. I nawet jeśli wciąż ciągnie się za nim nielegalne wykorzystanie pieniędzy frakcji Ruch na Rzecz Wolności i Demokracji do fejkowego Kongresu Klimatycznego w Krakowie w 2013 roku, to parasol ochronny obecnego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego w jednym nie pozwala na postawienie mu zarzutów.

Politycy, którzy łudzą swoich wyborców, że są w stanie prowadzić działalność polityczną bez funduszy w postaci wpłat na konto komitetu czy regularnym składkom członkowskim, powinni raz na zawsze zamknąć. Zapraszanie do finansowania partii politycznych z internetowych zrzutek to otwarta droga do politycznej korupcji. Profesjonalizacja działal-

Równość płac na tych samych stanowiskach bez względu na płeć i fundusze na rozwój odnawialnych źródeł energii przyniosą nam transpozycję do polskiego prawa unijnych dyrektyw

ności partii, szkolenia działaczy, prowadzone badania elektoratu i profilowane pod tym kątem kampanie wyborcze, to klucze poważnego podejścia do polityki. A bieżące relacje z działalności w regionach i w parlamencie to praca trwająca przez 24 godziny na dobę, za którą powinno się proponować rynkowe i adekwatne do umiejętności wynagrodzenie.

Kiedy przyjrzymy się Zielonym w politycznych mediach społecznościowych, widzimy jednoznacznie, że starają się odróżnić swój „przekaz dnia” od tego, co prezentują politycy Nowoczesnej, jakby pozbawieni odmienności poglądów w ramach Koalicji Obywatelskiej. Jestem pod wrażeniem obecnej Sekretarz Generalnej Zielonych Magdaleny Gałkiewicz, która merytorycznie i celnie punktuje w mieście Łodzi niedociągnięcia lokalnych samorządowców z koalicji KO-Nowa Lewica, rządzących na tyle długo, że wydaje się, że zaczęli tracić słuch społeczny i kontakt z mieszkańcami. Partia stara się szukać wyborców w mniejszych ośrodkach, takich jak Mińsk Mazowiecki, Konstantynów Łódzki czy Wałbrzych, a jej działacze na czele z postanką Małgorzatą

Tracz nadal szukają winnych katastrofalnego w skutkach zatrucia Odry, nawet jeśli media o tym dawno zapomniały.

A jak ma się liberalizm do zielonych idei? Słabość ostatniej jawnie liberalnej światopoglądowo i gospodarczo partii objawia się m. in. tym, że jej były działacz, Przemysław Słowik



Photo by Gustav Gullstrand on Unsplash

jest obecnym współprzewodniczącym Zielonych i Klaudia Jachira, która po rekomendacji Nowoczesnej trafiła do Sejmu, kilka tygodni temu zdecydowała się przejść do Zielonych. Program Platformy Obywatelskiej pragmatycznie skręca w lewo, obiecując skuteczną i sprawiedliwą transformację energetyczną, a nawet Ministerstwo Przemysłu na Śląsku. Postulat prawa do aborcji do 12. tygodnia ciąży na żądanie kobiety Platforma przeniosła z transparentów podczas strajków kobiet i wymachuje nim, żeby odróżnić się od Polski 2050. Równość płac na tych samych stanowiskach bez względu na płeć i fundusze na rozwój odnawialnych źródeł energii

przyniosą nam transpozycję do polskiego prawa unijnych dyrektyw.

Kiedy zobaczę Donalda Tuska, który jako lider Koalicji Obywatelskiej proponuje w najbliższej kampanii parlamentarnej przyjęcie ustaw o związkach partnerskich, dekryminalizacji rekreacyjnego użytku konopi indyjskich, czy stopniowym zakazie hodowli zwierząt na futra to uznaję, że zielony kwiatek do kożucha spełnił swoją rolę progresywnego przodownika pracy na rzecz zmian politycznych w Polsce. I sam Tusk tego nie zniszczy, wyciągając z kapelusza Romana Giertycha i umieszczając go na jednej liście z Urszulą Zielińską. ●



BEATA KRAWIEC

Absolwentka europeistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego i XXI. Szkoły Liderów Politycznych, pracowała z Michałem Bonim w Ministerstwie Cyfryzacji i w Parlamencie Europejskim. Dumna ze swojego miasta łodzianka i przekonana Europejka. Mieszka w Brukseli.

KARDIOLOGIA (NIE)RÓWNOŚCI. WIDZIALNOŚĆ KOBIET

ALICJA MYŚLIWIEC

Wykonuje nieustanną pracę. W ciągu ludzkiego życia kurczy się średnio 2,5-3,5 mld razy. To kobiece często nie wytrzymuje. Jest trudnym pacjentem, ponieważ mało o nim wiemy. Dlaczego? Winne są jego właścicielki.

Kobieca niewidzialność jest standardem. Polska ma 38 080 411 mieszkańców, z czego 51,7% stanowią kobiety, które żyją w świecie zaprojektowanym przez i dla mężczyzn. Nie trzeba być wytrwanym detektywem, żeby bez trudu dostrzec dyskryminację w słowniku, mediach, literze prawa, reklamie. Na ulicy, w sądzie, u lekarza. Przemilczenia i białe plamy skutecznie zakłamują historię. Czy komuś to przeszkadza? Owszem. Każdemu, kto zdaje sobie sprawę z konsekwencji tego procesu. A te bywają zabójczo niebezpieczne.

Niewidzialność kobiet prowadzi do zawałów. Metaforycznie? Nie! Dosłownie. Nie ma cienia wątpliwości co do tego, że powodem, dla którego kobiety częściej umierają na zawały, jest brak wystarczających danych dotyczących specyfiki naszego serca oraz symptomów zawału. Są one inne niż u mężczyzn. Naukowcy dopiero zaczynają je badać. Kolejny raz błędnie założono, że wyniki badań na męskich grupach można traktować uniwersalnie. Dopiero pod koniec XX wieku powstało pojęcie „kobiecej kardiologii”, a rok 2023 jest pierwszym, który dostarcza nam rzetelnych badań na ten temat. Podobne przykłady możemy mnożyć. Zamiast tego chcemy „odniewidzialnić” to, co wymaga dostrzeżenia i uwagi.

Spółeczniczki, aktywistki, działaczki. Silne, przedsiębiorcze, zmotywowane. Ich moc jest coraz widoczniejsza w przestrzeni publicznej.

O kobiecych sukcesach, które wpływają na rzeczywistość i zmieniają zasady gry, mówi się coraz częściej i coraz odważniej. Coraz rzadziej mylimy „chwalenie się” z docenianiem własnych osiągnięć. Idą za tym nieśmiałe zmiany instytucjonalne. A ich bardzo potrzebujemy w świecie, na którego urządzenie nie miałyśmy wpływu. Spotykam się z nimi na każdym kroku.

Piszę ten tekst, wracając z Krakowa. Bezpośrednio po rozdaniu Nagród im. Kazimierzy Bujwidowej. Już po raz drugi miałam okazję prowadzić Galę i spotkać się z laureatkami. Sama Bujwidowa była zdolna, ambitna i pracowita, ale – jako kobieta – nie mogła studiować. Przez całe życie walczyła, by jej córki otrzymały taką szansę. Dzięki jej staraniom w mury Uniwersytetu Jagiellońskiego wkroczyły pierwsze studentki. Bujwidowa przetarła szlak niejednej z nas. Czas kontynuować jej misję. Pracy jest sporo.

Wspaniale kontynuuje ją Nina Gabryś, Pełnomocniczka Prezydenta Krakowa ds. polityki równościowej. To ona zwróciła moją uwagę, że stolica Małopolski jako pierwsze miasto w kraju przyjęła Plan Równości Płci i jako pierwsze miasto należy do feministycznej sieci Femcities Network. Ale Kraków ma na swoim pokładzie osoby takie jak Nina. Kobiety, które bez zawahania otwierają drzwi innym kobietom, które odważnie podchodzą do rozmów przy stole, chwytają za mikrofon i nigdy nie przepraszają za upominanie się o to, co jest nasze!

Mogę tropić dyskryminację w słowniku, mediach, literze prawa, opakowaniu kosmetyków czy środków przeciwbólowych. Przypominać, że przemilczenia i białe plamy zakłamują historię. Mogę i będę to robić, ale chcę też czegoś więcej.

Słowa są tak samo ważne, jak czyny. Dlatego w kolejnych numerach „Liberté!” będę rozmawiać z kobietami, które mają tego świadomość

i rewolucjonizują rzeczywistość – myślą, słowem i uczynkiem. Moje rozmówczynie grzeszą przeciwko patriarchy i wypowiadają wojnę nierówności. Jeśli My – inne kobiety – i Wy, mężczyźni nie zaczniemy ich wspierać, świat nie dopasuje się do naszych potrzeb. Równość to inwestycja. W „Liberté!” zamierzamy ją doszacować. Bez bólu głowy i ze świadomością parametrów i możliwości kobiecego mięśnia sercowego. ●



ALICJA MYŚLIWIEC

Medioznawczymi z wyboru, zawodu i wykształcenia. Teoretyczka i praktyczka. Od lat pozostaje w sformalizowanym związku z Uniwersytetem Jagiellońskim i w związku otwartym z kinem niezależnym (Festiwal Filmu i Sztuki Dwa Brzegi, Mastercard OFF CAMERA, Letnia Akademia Filmowa w Zwierzyńcu). Absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej, kulturoznawstwa międzynarodowego, gender studies, w końcu studiów doktoranckich z wiedzy o sztuce, doktorantka wiedzy o mediach. Dziennikarka radiowa (Antyradio, RMF Classic, Meloradio) i telewizyjna (TVN). Koneserka przyjemności. Wielbicielka jogi. Właścicielka agencji kreatywnej PR Broker.

Stoimy na wspólnej scenie. Odnajdujemy kontekst, w którym razem zastanawiamy się „Co nas obchodzić mogłoby w tym kraju, gdzie przyjaciele z dala się obchodzą”? Bo jednak coś nas obchodzi, zajmuje, martwi. I patrząc na świat, będąc zanurzonymi w coraz bardziej niedogodnej, a nawet groźnej codzienności, nie rwiemy sobie włosów z głowy, ale szukamy. Przekopując się przez te ponad już trzydzieści lat polskiej wolności – pojmowanej zarówno jako wolność osobista, polityczna, jak i jako kategoria społeczna – szukamy klucza do własnej wspólnoty, ale też do naszej indywidualności.

(fragment książki)



Magdalena M. Baran w Bibliotece Liberté!

Urzeka mnie w tej książce, że jest próbą powrotu do tego, co najprostsze, ale dziś wyparte i utracone. Powrót do rozmowy, dialogu, niespiesznej wymiany myśli z dala od bezduszno-bezmyślnych „polemik”, które dewastują nasz kraj – oto jedyna droga do ocalenia.

Piotr Augustyniak

W czasie, gdy na świecie dominuje monolog, rozmowa staje się bezcenna. Magdalena M. Baran w swojej książce przywraca rozmowie powagę i znaczenie.

Jarosław Makowski

L!

ZAKUCI W PARTYJNE KAJDANY. CZY SPORT BĘDZIE KIEDYŚ WOLNY OD POLITYCZNYCH UZALEŻNIENI?

JAKUB ANDRZEJ LUBER



To był symbol wolności. Tę wolność jednak bardzo szybko odebrano. Zrobiono to jednak niepozornie. Na strojach zawodników nie pojawiły się bowiem loga partyjne. Pojawiło się inne logo. Na pozór o wiele bardziej polskie! Prezentujące dumnego orła logo Orlenu.

W PRL funkcję dowodu osobistego spełniały tak naprawdę dwa dokumenty. Prawdziwy dowód i partyjna legitymacja, otwierająca nam wszystkie możliwe drzwi i furtki do dziś już swobodnie otwartych pomieszczeń. To był kraj podwójnych standardów, w którym przynależność partyjna kazała jej posiadaczy traktować jako ludzi lepszej kategorii, którym ze względu na przywiązanie ideologiczne było wolno więcej. Żyli, zaznając wyblakłych barw w szarym świecie. W latach dziewięćdziesiątych, gdy sztandar PZPR już przechodził do historycznych muzeów, do Polski znowu napłynęło wiele żywych barw. Najwięcej było ich widać w sporcie. Stroje zawodników zdobyły kolorowe ornamenty, na stadionach grała głośna i wesola muzyka, której towarzyszyły okrzyki kibiców. To był symbol wolności. Tę wolność jednak bardzo szybko odebrano. Zrobiono to jednak niepozornie. Na strojach zawodników nie pojawiły się bowiem loga partyjne. Pojawiło się inne logo. Na pozór o wiele bardziej polskie! Prezentujące dumnego orła logo Orlenu.

Stadiony stały się dziś miejscem największych politycznych manifestacji, a kluby sportowe – obiektem kampanii wyborczej wielu polityków i samorządowców. Na globalną skalę jednak sport stał się możliwością realizacji wielkich interesów mocarstw. Putin podjął decyzję o terminie inwazji na Ukrainę po konsultacji z chińskim przywódcą. To igrzyska olimpijskie w Pekinie paradoksalnie uratowały Ukraińców. Żeby nie

przerywać olimpiady przynoszącej Chińczykom pieniądze, turystów i sławę, Rosjanie ruszyli na naszych sąsiadów dopiero po jej zakończeniu. Gdyby inwazja zaczęła się tydzień lub dwa wcześniej, to rosyjskie czołgi nie napotkałyby przeciwności w postaci błota itp., wynikłych z przedwiosennej odwilży.

Tak jak kiedyś rywalizacja sportowa między Stanami Zjednoczonymi, czy Związkiem Radzieckim w pewnym bardzo luźno rozumianym sensie była płaszczyzną zimnej wojny, tak teraz symbolem rywalizacji zachodniej cywilizacji z autorytarną Rosją jest zupełne wykluczenie tych drugich ze świata sportu. Czy dążymy w takim razie do momentu, w którym będziemy mieli igrzyska olimpijskie świata demokratycznego, zbojkotowane przez rosyjskich najeźdźców i ich wasali oraz osobno, igrzyska olimpijskie świata autorytarnego, zbojkotowane przez demokracje zachodu? To byłby zupełnie nowy sposób przenoszenia rywalizacji i polityki na sport.

Wobec powyższego ciekawą kwestią pozostaje uczestnictwo Rosjan w polskich zawodach. W większości dyscyplin zakazano im uczestnictwa nawet pod nie narodową, a olimpijską flagą. Kontrowersje wzbudziła jednak sytuacja dwóch Rosjan z polskim obywatelstwem w żużlu. Emil Sajfutdinow i Artem Łaguta w roku 2022 zostali wykluczeni ze wszystkich rozgrywek na znak protestu przeciwko rosyjskiej inwazji. Pojawił się jednak problem – Artem, dla którego ten sezon

był niezwykle ważny, bo miał w nim bronić tytułu indywidualnego mistrza świata, zadeklarował zgłoszenie chęci do zdania polskiej licencji „Ż” i występowania pod polską flagą. Jego klub, który w wyniku osłabienia brakiem taguty odnosił fatalne wyniki, przystał na propozycję mistrza świata. Okoniem stanął jednak PZM. W świetle prawa to zawodnik miał rację – miał przecież polskie obywatelstwo, a konstytucyjna zasada równości przyznawała i jemu i każdemu innemu Polakowi taką samą możliwość ubiegania się o polską licencję, pod warunkiem spełnienia wszystkich wymaganych przez PZM przesłanek.

To igrzyska olimpijskie w Pekinie paradoksalnie uratowały Ukraińców. Żeby nie przerywać olimpiady przynoszącej Chińczykom pieniądze, turystów i sławę, Rosjanie ruszyli na naszych sąsiadów dopiero po jej zakończeniu

Jako że wśród nich nie było wymogu niereprezentowania wcześniej żadnego innego kraju w rozgrywkach (w tym zbrodniczego reżimu Putina), to znajdował się w identycznej sytuacji, co każdy inny Polak. Gdyby więc zdecydował się na podjęcie kroków prawnych – mielibyśmy głośną na cały świat sprawę. Moralnie moglibyśmy przecież jasno osądzić tą sprawę – skoro tyle lat mając podwójne obywatelstwo zawodnicy występowali pod rosyjską flagą, to z jakiej racji teraz, gdy państwo, które reprezentowali tyle lat,

dopuszczało się zbrodni, zmienić nagle kolor flagi? Na szczęście w tej akurat sprawie udało się dojść do kompromisu i Rosjanie z polskim obywatelstwem na rzecz występu w polskiej lidze zrezygnowali z udziału w międzynarodowych turniejach.

Innym zjawiskiem politycznym, które widzimy dzisiaj w sporcie, jest wkupywanie się we względy kibiców. Nie opuszczając żużlowego świata, w polskiej ekstraklidze, obiektywnie najlepszej lidze świata ze startujących ośmiu zespołów tylko jeden nie jest finansowany przez spółkę skarbu

państwa. Jest to Apator Toruń, a finansowany z takich środków nie jest tylko dlatego, że jego właścicielem jest były senator Platformy Obywatelskiej, Przemysław Terminiński, który wykupił klub od radnego sejmiku również z nadania PO, Jacka Gajewskiego. W przypadku pozostałych klubów mamy więc do czynienia z sytuacją, w której prezesi spółek skarbu państwa ładują publiczne pieniądze w swoją własną reklamę. Nie mówimy o sumach małych, tylko potężnych pieniądzach, z którymi nie liczą się prezesi, bo



Photo by karthegan Padmanaban on Unsplash

to przecież skarb państwa, nie ich prywatna kieszeń. Inne kluby wobec tego muszą poszukiwać finansowania z innych źródeł, a skoro ich nie znajdują (bo kto da tyle własnych pieniędzy na reklamę?), to uciekają się również do błagania spółek państwowych o wsparcie. W ten sposób wpadamy w błędne koło, a w dobie prawie 20% inflacji nasze publiczne środki idą na nowsze silniki u żuźłowców, czy pensje dla piłkarzy.

Absurdalnie niezwykłym jest jednak dzisiejsze sponsoringowe niewolnictwo. Tak, niewolnictwo już dawno zostało zakazane. Wciąż jednak można „kupić” sobie takiego Zmarzlika, czy Kubicę. Indywidualny mistrz świata z 2019, 2020 i 2022 roku jest już od dłuższego czasu sponsorowany przez Orlen. Logo tej gigantycznej spółki zdobi w wielu miejscach każdy jego kevlar, czy motocykl. Patrzysz na Zmarzlika –

był z tego dumny. W zeszłym roku jednak odmówił przedłużenia kontraktu. Tłumaczył się głodem zwycięstw, co było zrozumiałe. Stal zajęła w rozgrywkach ostatecznie drugie miejsce, a po przegranym finale Zmarzlik potwierdził, że przechodzi do Motoru Lublin. Podczas przedstawienia składu na nowy sezon, na początku tego roku Motor przedstawił również nowego sponsora tytularnego. Jest nim wchodząca w skład grupy kapitałowej PKN Orlen spółka Platinum. Zmarzlik Obajtka będzie reklamował nie tylko indywidualnie, ale również drużynowo. Może więc to sam Obajtek przyłożył rękę do transferu?

Nie brak argumentów również z drugiej strony, bowiem przecież Orlen jest spółką publiczną i mimo że w tej chwili należy do pisowskiego nominata, wernego Kaczyńskiemu Danielowi

stadionach kibicowskie banery. „To nie nasza wojna”, czy „Łapy precz od JP II” zdobyły sektory kibica w polskiej ekstraklasie. Musimy więc uświadomić sobie, jak charakterystyczną grupą są kibole. Nie chciałbym stereotypizować, ale takie hasła przecież jasno pokazują ich poglądy polityczne. Pytanie, na jakie ja w takiej sytuacji szukam odpowiedzi, brzmi: co ma zrobić kibic niepopierający takich haseł? Wyjść ze stadionu? Wtedy odwrócę się od niczemu winnych zawodników, których przyszedłem oglądać. Będzie to stricte polityczna manifestacja. Z drugiej strony mogę też zostać. Zalegalizuję jednak hasło wzywające do odmówienia pomocy tym

ludziom, którym sam przecież pomagałem i z tej pomocy jestem dumny.

To pytanie, na które ostatecznie ciężko znaleźć dobrą odpowiedź. W takim czy innym wypadku pozostają więźniem ludzi, którzy to hasło wywiesili. To może zakazmy politycznych manifestacji na meczach! No nie, po pierwsze to ograniczanie wolności słowa, po drugie – przecież można to bardzo łatwo obchodzić, mówiąc że to nie polityczna, a religijna manifestacja. W końcu Jan Paweł II był kibicem Cracovii. Dojść możemy do jednej, brutalnej odpowiedzi – nie da się już dzisiaj być apolitycznym. ●

Absurdalnie niezwykłym jest jednak dzisiejsze sponsoringowe niewolnictwo. Tak, niewolnictwo już dawno zostało zakazane.

myślisz Orlen. Najlepszy żuźlowiec świata stał się niestety jeżdżącą kampanią wyborczą Daniela Obajtka. Prawdziwą kulminacją tej reklamy był jednak moment transferu Bartka. Wychował się on w Gorzowie i tamtejszą Stal bardzo długo reprezentował i, jak zawsze zaznaczał,

Obajtkowi, to warto polskie dobro reklamować na jak największą skalę. Czy istnieje lepsza reklama polskiego produktu niż najlepszy żuźlowiec świata? Ocenę pozostawiam czytelnikom. Ostatnim wreszcie przejawem upolitycznienia są coraz częściej pojawiające się na piłkarskich



JAKUB ANDRZEJ LUBER

Student Prawa Uniwersytetu Warszawskiego aktywnie biorący udział w studenckim ruchu naukowym, szczególnie w zakresie karnistycznym. Koordynator kujawsko - pomorskiego Pokolenia 2050. Członek fundacji edukacyjnej "Nowy Głos". Wicemistrz Polski na poziomie licealnym i półfinalista Akademickich Mistrzostw Polski Debat Oksfordzkich. Chrześcijański demokrat marzący o Polsce zielonej, obywatelskiej i sprawiedliwej.



PIOTR BENIUSZYS

KAŻDY MA SWOJĄ NOSTALGIĘ

Starzeję się i coraz mniej lubię współczesny świat. Naczelnym objawem mojego osobistego kryzysu wieku średniego jest nostalgia za latami 90-tymi. Zbyt głęboko uwierzyłem, że wszystko wtedy było lepsze, aby ktokolwiek mógł mnie jeszcze z tego błędu wyprowadzić. Żył Kurt Cobain, a teraz nie żyje. Co tydzień publikowano po kilka płyt ze świetną muzyką, a teraz dzieje się to może raz, dwa razy na kwartał. Mogłem naprzykrzać się ojcu, a teraz to mi się naprzykrza. Wolny rynek był modny, a teraz modne są depresje. Poprawność polityczna polegała wtedy na tym, że się z uprzejmości i dobrowolnie mówiło np. „osoba z nadwagą” (zamiast „grubas”), a dziś polega na tym, że strasznie wielu rzeczy powiedzieć w ogóle nie można, bo ryzykuje się nalotem twitterowej Policji Myśli (poza tym wskutek każdego tweeta potencjalnie setki osób mogą rozważać samobójstwo, więc sumienie nie pozwala za szeroko otwierać pyska). W końcu, wtedy dekolantami i nogami świeciły gwiazdy kina z mojego pokolenia, a dziś czynią to panny o dwie i pół dekady młodsze, co skłania do ostrożności procesowej przy nieopacznym kontakcie z tego rodzaju materiałami.

Ale każdy ma swoją nostalgię, a specjalistami od nostalgii są prawicowi konserwatyści (cały ich światopogląd to w zasadzie jedna wielka nostalgia). Ostatnio mamy erupcję marzeń o powrocie do takich lat 90-tych, jakimi zapamiętali je prawicowcy. Do czasów Jana Pawła nieskazitelnego, małżeństwa nierozzerwalnego, opozycji bezpaszportowej czy TVP monopolistycznej.

2 kwietnia cały kraj rozdeptały marsze solidarności z Janem Pawłem II. Prawica tęskni za czasami, w których nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, że Karol Wojtyła podjął jakąkolwiek decyzję, wskutek której ktoś został skrzywdzony. A gdyby jednak takie informacje zostały wykryte, to z szacunku dla świętości zostałyby przemilczane i zatajone. W końcu przecież „tylko nie mów nikomu” było nie od parady. Na pomysł marszów solidarności z ofiarami duchownych, których Wojtyła przenośli z parafii do parafii, nikt nie wpadł. Solidarność z „maluczkimi” to w końcu wymysł wrażej współczesności.

Współczesność przyniosła także plagę rozwodów, czego w latach 90-tych nie było. Stąd pomysł konfederackiej prawicy, aby młodzi małżonkowie mogli oświadczyć w USC, że wyrzekają się prawa do rozwodu. Pozbawienie się wolności następowałoby oczywiście dobrowolnie, a więc byłyby jej aktem. Wolność do braku wolności – to zaiste oryginalna myśl. John Stuart Mill musiał polskich konfederatów jakoś antycypować, bo już w XIX w. tłumaczył jak krowie na rowie, dlaczego dobrowolne oddanie się w niewolę nie jest aktem wolnościowym, a jego zakazanie chroni wolność, a nie ją ogranicza (Mill zresztą w dodatku nazwał kiedyś małżeństwo „wyrafinowaną formą niewolnictwa”). W pomysłu konfederatów jest jednak kuriozalna luka: wyrzekający się rozwodu młodzi mieliby możliwość uzyskania go mimo wszystko „za zgodą biskupa diecezjalnego”. Losy Jacka Kurskiego dobitnie pokazują, że jest to luka szeroka niczym Grand Canyon i że

statystyczny biskup diecezjalny w Polsce małżeństwa lekką ręką unieważnia. Zapewne jest to kwestia znajomości i kwoty.

Nostalgia nawet za latami 80-tymi wykazali się ministrowie Moskwa i Czarnek, kreśląc wizję odbierania paszportów zwolennikom i politykom opozycji za krytykę ich rządu. Niejasne pozostało tylko, po której granicy pozbawione papierów „lewactwo” miałyby zostać. Moskwa chyba raczej taknie naszej banicji poza granice RP, więc sięga ku tradycji „Żydzi na Madagaskar!”. Czarnka zaś bardziej inspirowane PRL, czyli zakaz wyjazdów dla opozycji poza Polskę. Niech zostanie na miejscu i w bólach ogląda, jak Czarnkowa szkoła robi z mózgow ich dzieci pulpę!

W końcu, zanim uda się ze wszystkimi telewizjami zrobić to, co z gazetami Polska Presse, na pilotach winna królować TVP. O istnieniu alternatyw można by zapomnieć i znów byłyby w Polsce tylko dwa kanały, jak we wczesnych latach 90-tych. Komu to przeszkadzało? Programy TVP winny być na jednocyfrowych kanałach, dostępne jednym wciśnięciem guzika. A te wobec rządu krytyczne? Niech mają jakieś trzycyfrowe kanały, w dodatku takie, które na klawiaturze najtrudniej wybrać, jak 924 lub 716.

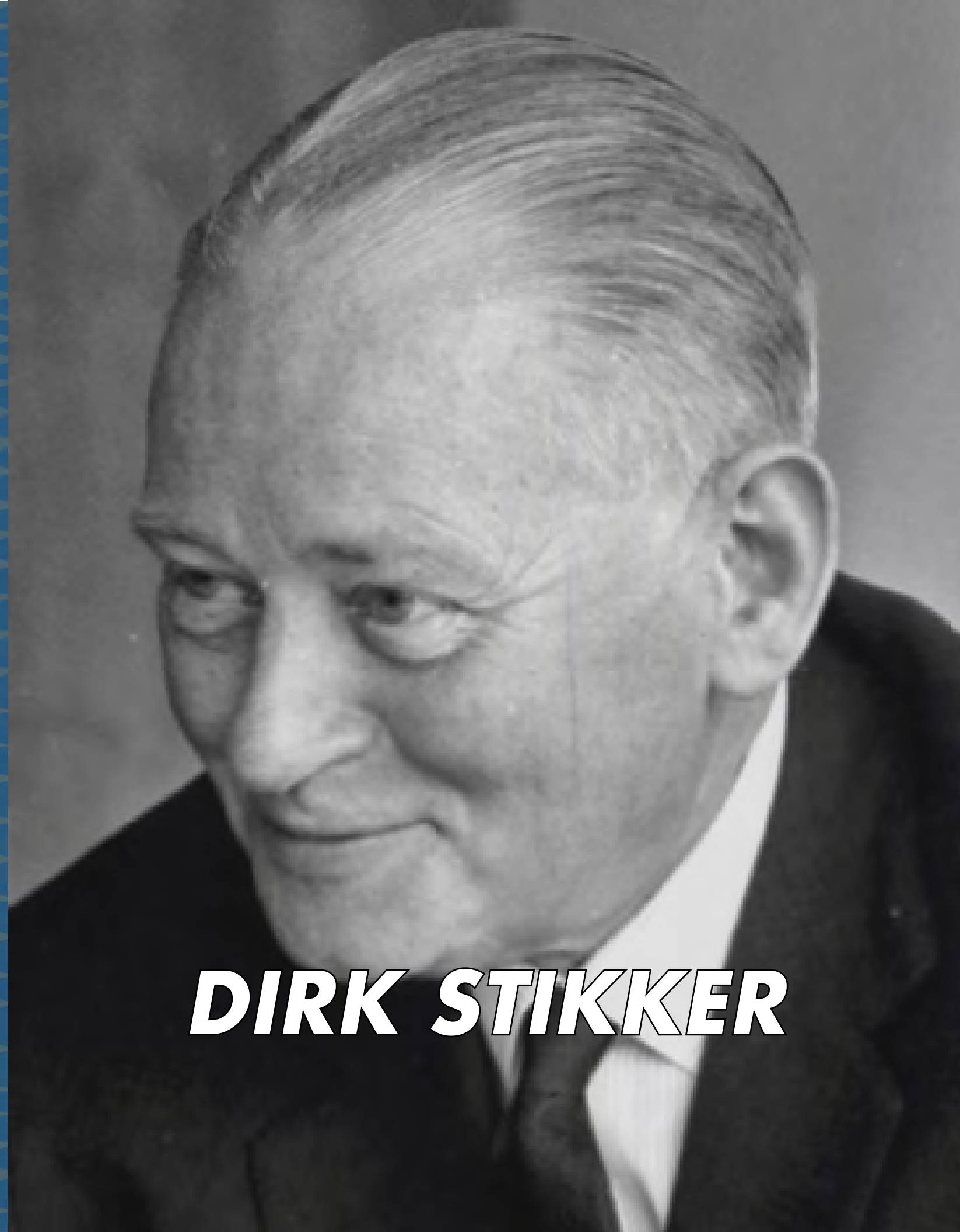
Nostalgia to świetna rzecz. Każdy wyobraża sobie piękniejszy świat i żyje marzeniami.

COLD WAR LIBERALS

Prezentuje:
PIOTR BENIUSZYS



„Cold War Liberals” jest rubryką biograficzną. Od maja 2022 do grudnia 2023 przedstawiamy w niej pokrótce sylwetki 20 znaczących polityków liberalnych z zachodniej strony „żelaznej kurtyny”, których szczyt działalności publicznej przypadł na lata zimnej wojny.



DIRK STIKKER

Silne, charyzmatyczne, dominujące nad innymi przywództwo często bywa stawiane na piedestał, nawet w demokracji. Za rzadko docenia się podejście odmienne, które zdradza się w naturalny sposób w warunkach konsensualnych demokracji, znanych z państw o głębokich podziałach społeczno-politycznych i równocześnie chronicznym wręcz rozdrobieniu partyjnym, takich jak kraje Skandynawii i Beneluksu. Tymczasem w realiach sterowania wielkimi strukturami organizacji międzynarodowych, gdzie sprzeczności interesów i nieustępliwość przywódców państw członkowskich generują sytuacje niezwykle chybotliwej dynamiki, co rusz grożącej nowym kryzysem, to właśnie koncyliacyjny i wyzuty niemal z emocji styl przywództwa rokuje najlepiej. W okresie głębokiego kryzysu w Pakcie Północnoatlantyckim, który objawił się w postaci spadku zaufania na linii USA-Europa oraz w związku z samodzielną drogą Francji w pierwszej połowie lat 60-tych, taki właśnie styl przewodzenia testowi najwyższej próby miał okazję poddać Dirk Stikker.

Stikker urodził się w prowincji Groningen w 1897 r., w rodzinie silnie powiązanej z różnego rodzaju biznesem. Wśród przodków miał i farmerów, i panów na włościach, i armatorów. Jego ojciec był zaś bankierem i to u niego Dirk stawiał pierwsze kroki swojej kariery zawodowej wkrótce po zdobyciu dyplomu prawnika na Uniwersytecie w Groningen. Po roku pracy

zdołał jednak posadę w większym Twentsche Bank, a po kilkunastu latach zmienił branżę i w 1935 r. został dyrektorem w słynnym na cały świat browarze Heineken.

Stikker urodził się i wychował w Holandii, której społeczną rzeczywistość regulował system tzw. pilaryzacji. Ludzie byli obywatelami jednego kraju, ale stosowali wzajemny „apartheid”, oparty nie o rasowe, a o religijno-ideologiczne kryteria. Istniały trzy dobrze zorganizowane „filary” (katolicki, protestancki i socjalistyczny) oraz czwarty, o wiele bardziej zatowimowany „filar” liberalny, do którego należała rodzina Stikkerów. Holendrzy unikali kontaktu z członkami obcych „filarów” – nie tolerowano „mieszanych” małżeństw, nie czytano tych samych gazet, nie uczęszczano do tych samych szkół, były „protestanckie restauracje”, „socjalistyczne bary”, „katolicki fryzjerzy” i „liberalne taksówki”. Wzajemne unikanie się upatrywano jako jedyną możliwość uchronienia państwa przed rozpadem.

Każdy „filar” miał oczywiście także swoje partie polityczne, które jednak niekiedy zawierały koalicję. Tylko na tym poziomie „filarom” wolno było się do siebie zbliżać. W tych realiach ukształtowała się kultura wygaszania temperatury politycznych sporów, negocjacji „do upadłego”, poszukiwania minimalnych choćby konsensusów i przeprowadzania jak największej ilości

procesów politycznych za zamkniętymi drzwiami. Rezultaty i uzgodnienia prezentowano tylko opinii publicznej jako coś danego – oczywiście każda partia swojej opinii publicznej.

Dirk Stikker był siłą rzeczy przez tę mentalność ukształtowany – niemal kulturowy szok wywołała w nim obserwacja na miejscu w USA gwałtowności i bezpretensjonalnej agresji amerykańskiej kampanii wyborczej w 1932 r. między Rooseveltem a Hooverem. W jego oglądzie świata, biznesu i później polityki wartościami podstawowymi były współpraca, koncyliacja, kompromis oraz nieufność wobec wszelkich przerosłów ego. Stikker należał jednak też do pierwszych osób publicznych, które postanowiły zrobić krok do przodu i na bazie idei koncyliacyjnej poszukiwać płaszczyzn dla wykraczania poza pilaryzację. Jeszcze podczas okupacji hitlerowskiej przygotowywał, a w 1945 r. założył „Fundację na rzecz Pracy”, która miała stanowić forum dialogu i współpracy pomiędzy związkami zawodowymi a zrzeszeniami pracodawców, a więc ludźmi z reguły należącymi do różnych „filarów”. W jej deklaracji założycielskiej Stikker napisał, iż „wspólne doświadczenie cierpienia, zadanego przez niemieckiego okupanta, spowoduje że zanikną dawne [holendersko-holenderskie] antagonizmy, mury segregacji zostaną obalone”. Była to dalekowzroczność, ale i nadmierny optymizm – „pilaryzacja” miała wtedy przed sobą jeszcze dwie dekady.

Inicjatywa Stikkera otworzyła mu jednak drogę do polityki. Wraz z grupą polityków przedwojennej partii „pro-państwowców” założył Partię Wolności, która po kooptacji grupy centrolewicowych liberałów przekształciła się w Ludową Partię dla Wolności i Demokracji (VVD) – dziś jedną z największych sił politycznych w Holandii. Po wyborach 1948 r. VVD weszła do koalicji rządowej, a Stikker objął urząd szefa dyplomacji, który sprawował do 1952 r. (gdy VVD zgłosiła wniosek nieufności wobec rządu z powodu polityki kolonialnej w Nowej Gwincei i wycofała swoich ministrów). W tym okresie Holandia odegrała aktywną rolę zarówno przy kształtowaniu NATO, jak i powołaniu Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali.

Stikker dodał więc do swoich doświadczeń biznesowych znaczące credentials w polityce międzynarodowej. Tą drogą miał podążać przez resztę swojej publicznej kariery: był ambasadorem Niderlandów w Londynie, przedstawicielem przy poprzedniczce OECD, w końcu w Radzie Północnoatlantyckiej. Zwłaszcza w tej ostatniej funkcji nawiązał liczne, bliskie kontakty, m. in. z Deanem Achesonem, Konradem Adenauerem, Paulem-Henri Spaakiem czy gen. Laurisen Norstadem. Pomimo nieufności i oporów Francji de Gaulle’a, w 1961 r. Dirk Stikker objął funkcję sekretarza generalnego NATO. W samym środku narastania tarć w łonie sojuszu.

W Waszyngtonie zachodziła właśnie zmiana polityczna i Demokraci Kennedy'ego forsowali zmianę w strategicznej koncepcji „zimnej wojny”. Eisenhowerowska doktryna „masowego odwetu” została zastąpiona doktryną „elastycznej reakcji”. Zasadniczo słuszne przejście od wizji natychmiastowego rzucenia na ZSRR całego arsenału jądrowego do wizji wielu opcji reagowania w zależności od powagi sytuacji (w tym opcji ograniczenia się do użycia tylko broni konwencjonalnej, aby ograniczać eskalację) budziło w Europie obawy o możliwe wycofanie się USA ze zobowiązań wobec niej i uczynienie ze „starego kontynentu” ponownie jedyne pole nowej, konwencjonalnej, III wojny światowej. W stolicach europejskich, zwłaszcza w Paryżu, dostrzeżono także zmienne podejście nowej administracji, która traktowała NATO nie jako sojusz równych, a tylko jako jedno z wielu narzędzi amerykańskiej polityki obronnej.

Stikker rozumiał zarówno potrzebę odświeżenia strategii USA, jak i obawy Europejczyków. Za kluczowy uznał problem wiarygodności NATO, które de facto nie posiadało żadnej kontroli nad arsenalem jądrowym jego państw członkowskich. Pełna kontrola, w tym nad decyzjami o użyciu lub nieużyciu tych arsenatów, leżała w rękach rządów w Waszyngtonie,

Londynie i Paryżu. Oznaczało to, że wojna jądrowa mogła w każdej chwili wybuchnąć bez formalnej decyzji NATO, ale także że pomimo decyzji większości jego członków arsenał ten nie zostałby użyty w danym kryzysie, gdyby innego zdania były te trzy stolice. Stikker chciał, aby wszelkie „ograniczone reakcje” w doktrynie „elastycznej reakcji” zostały podane do dyskusji w radzie NATO, a nawet sugerował ustanowienie (znanego dzisiaj z Rady Europejskiej w UE) modelu głosowania ważonego. Naturalnie był świadom, że tego rodzaju perswazje nie trafią w Waszyngtonie na przychylną.

Nie był też w stanie zapobiec decyzji Paryża o wycofaniu się z wojskowych struktur NATO. Pomimo zajęcia przez Stikkera w sporze o doktrynę pozycji bliższej Europejczykom, Paryż uznawał sekretarza generalnego sojuszu za polityka nadmiernie „pro-atlantycznego”, czyli proamerykańskiego. Stikker dostawał rykoszetem za stałe utarczki francusko-holenderskie we wszystkich gremiach Wspólnot Europejskich, gdzie holenderska dyplomacja w istocie miała podówcześnie doktrynalny niemal zwyczaj głosować zawsze przeciwko stanowisku francuskiemu. Ale uszom samego de Gaulle'a pewnie nie uszły nieprzychylny Francji komentarze Stikkera, na jakie pozwał on sobie okazjonalnie jako

ambasador na placówce w Londynie (gdzie frankofobia otwierała oczywiście niejedne angielskie drzwi). Po objęciu urzędu Stikker musiał kilka miesięcy czekać na „audiencję” u megalomańskiego prezydenta Francji (rzekomo otrzymał ją w końcu tylko dzięki interwencji Adenauera). Również samo spotkanie zostało przez Francuzów wykorzystane, aby niezgodnie z protokołem dać Stikkerowi do zrozumienia, że nie jest w Pałacu Elizejskim nadmiernie mile widzianym gościem.

Zarówno w takich okolicznościach, jak i w skazanych na niepowodzenie, acz ciągle ponawianych próbach dialogu z ludźmi Kennedy'ego o strukturze decydowania w NATO, Stikker nigdy nie tracił rezonu, nie złościł się i nie dawał upustu jakimkolwiek emocjom. Poniżany w Paryżu, sam zachował się nienagannie według protokołu. Wiedział, że żadna z tych sytuacji nie ma miejsca ze względu na jego osobę, więc nie brał tego do siebie. Widział kontekst, napięcia i konflikty interesów w NATO. Wykazał się cierpliwością, w zasadzie „holenderskością”. Działał zgodnie z założeniem, że żadna odmowa nie oznacza niemożliwości kontynuowania dialogu, żadne drzwi nie zamykają się na zawsze, kompromis zawsze pozostaje dalekosięzną możliwością, a unoszenie się dumą czy honorem

i zadrażnianie relacji międzyludzkich z jakimkolwiek decydem jest głupie, bezcelowe, bezproduktywne i rozprasza uwagę.

Trzy lata na czele NATO – Stikker złożył rezygnację w 1964 r. z powodu dość poważnych problemów zdrowotnych – nie były wielkim sukcesem. Jednak nawarstwienie się sporów w sposób istotny groziło wtedy dezintegracją sojuszu. Tymczasem Stikker nie tylko potrafił skanalizować francuską woltę do poziomu de facto tylko formalnej zmiany (o Francji mówił, że faktycznie nie jest w stanie samodzielnie realizować własnej strategii obrony jądrowej i w przypadku realnego zagrożenia eskalacji „powróci w mgnieniu oka”), ale i – mimo poważnych wewnętrznych kryzysów – utrzymał nienaruszonym wizerunek NATO jako realnej siły i zagrożenia dla ZSRR. Aż do końca „zimnej wojny” NATO skutecznie realizowało wobec Kremla strategię odstraszenia. Także w pierwszej połowie lat 60-tych, kiedy wskazówki „zegara zagłady” znalazły się najbliżej godziny dwunastej.

Od 1963 r. Stikker był opisywany w mediach i zakulisowych plotkach jako człowiek ciężko chory. Rzeczywiście, jeszcze jako szef NATO, przeszedł poważne operacje. A jednak dane mu było cieszyć się dość długą emeryturą. Zmarł w Wassenaar w 1979 r. ●

JAKUB PSZONIAK

FINAŁ

kiedyś przyjdzie takie jutro
w którym zrozumiemy język złodziei ptaków i kamieni
kiedyś przyjdzie takie jutro w którym zamieszkamy
jak w ceglanych porach lub pęknięciach w korze

grom spali policyjny kordon a czas i miasto
wleją się w piasek

kiedyś przyjdzie takie jutro
w którym stanę na dachu płonącego radiowozu
podniosę w górę zaciśniętą pięść i krzyknę:
rewolucja która zwyciężyła
nie może być moją rewolucją



Jakub Pszoniak (ur. 1983) jest poetą, redaktorem, grafikiem i składaczem. Za debiutancki zbiór wierszy *Chyba na pewno* (Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2019) otrzymał Wrocławską Nagrodę Poetycką Silesius. Ponadto wydał książkę poetycką *Lorem ipsum* (Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022), dokonał wyboru wierszy Mirona Białoszewskiego *Z dnia robię noc* (Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022) i przełożył wiersze Kateryny Michalicyny zebrane w tomie *Głosy* (Fundacja Pogranicze, Sejny 2022). Jeszcze mieszka w Bytomiu.

Wiersz wolny to nowa przestrzeń *Liberté!*, uwzględniająca istotne, najbardziej progresywne i dynamiczne przemiany w polskiej poezji ostatnich lat. Wiersze będą reagować na bieżące wydarzenia, ale i stronić od nich, kiedy czasy wymagają politycznego wyciszenia, a afekty nie są dobrym doradcą w interpretacji rzeczywistości. Redaguje Rafał Gawin

REDAKCJA:

Redaktor naczelny:

Leszek Jażdżewski

Redaktor prowadząca miesięcznik Liberté!:

Magdalena M. Baran

**Numer ukazuje się dzięki wsparciu
czytelników.**

Zespół Liberté!:

Piotr Augustyniak

Piotr Beniuszys

Marcin Celiński

Sławomir Drelich

Joanna Ellmann

Marcin Frenkel

Daria Hejwosz-Gromkowska

Sławomir Kalinowski

Tomasz Kamiński

Tomasz Kasprowicz

Joanna Łopat

Magda Melnyk

Marcin Wojciechowski

Tłumaczenia

i współpraca zagraniczna:

Olga Łabendowicz

Koordinacja biura Fundacji, opieka nad liberte.pl:

Joanna Głodek

Redaktor prowadząca liberte.pl:

Magda Melnyk

redakcja@liberte.pl

Koordinacja 6. dzielnicy:

Marcin Malecki

Skład i opracowanie graficzne:

Lotokot Studio

Korekta:

Piotr Beniuszys

Sylvia Dziemińska - Korekta przy kawie

Ilustracje:

- Zdjęcia na licencji CC
- Okładka: Photo by Alberto Bigoni on Unsplash

WYDAWCA:

Fundacja Liberté!

ul. Piotrkowska 102,
II piętro, 90-004 Łódź
www.liberte.pl

Prezes Zarządu:

Błażej Lenkowski

Wiceprezes Zarządu

Leszek Jażdżewski

ISSN: 2080-4326